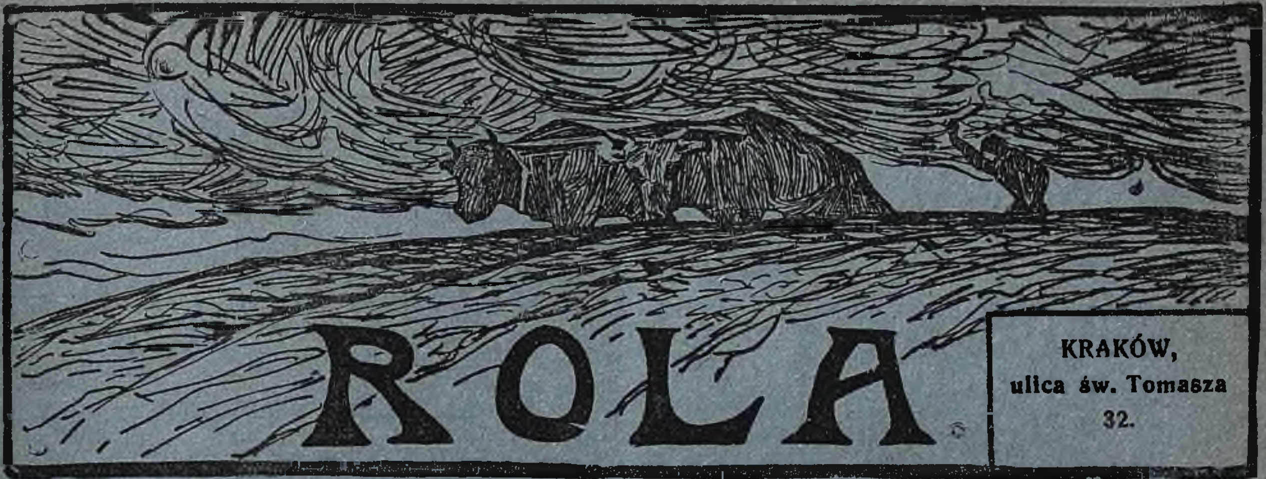
Numer 9. Nal poczt. opł. rycz. Dnia 27 Lutego 1927.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Kalendarze już wyczerpane!

Miła obietnica.

Od mamy trąbkę i nieco łakoci,
A zaś bębenek otrzymał od cioci,
Maleńki Ignaś na swe imieniny,
Cieszy się chłopczyk bardzo z tej przyczyny...
Lecz ojciec rzecze: „Oho, mój Ignacy,
Już mieć nie będę spokoju przy pracy,
Będziesz wciąż bębnił, trąbił jak na wojnie!“
A Ignaś: „Ja się zachowam spokojnie;
Wtenczas zatrąbię: tra-ra, rata, trata,
Na bębnie: bum, bum!... gdy będzie spał tata!“

Fr. M.



Jedyny kandydat.

Bartek: Pan hrabia ogłosił w gazecie, że poszukuje furmana, otóż przychodzę. Jestem jedynym kandydatem!

Hrabia: Jakto jedynym? Przecież wielu mogło czytać moje ogłoszenie, więc oni wkrótce się tu zjawią.

Bartek: Już się oni tu nie zjawią, bo ich wszystkich przed chwilą za kark ze schodów postrącałem.

Powód do małżeństwa.

— Czy pomieszanie zmysłów jest podstawą do rozwodu?

— Nie! Jest ono tylko podstawą do wejścia w związki małżeńskie.



Dobre serduszko.

Dziecię: Dziesięć groszy, które miałem,
Dziś jednej staruszce dałem)
Matka: Bardzo pięknie, moja duszko,
Że tak dobre masz serduszko —
Czemże litość twą wzbudzała?
Dziecię: Bo... cukierki sprzedawała!

Fr. M.

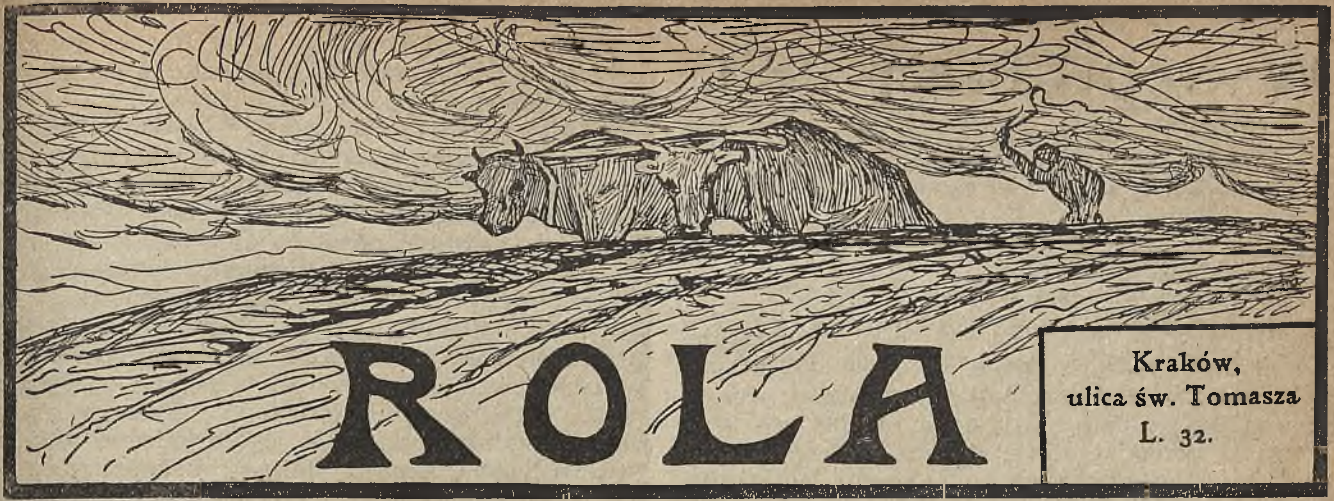


Za kulisami.

— Naturalnie, dasz mi pan rolę w swej sztuce?

— Dobrze. Będziesz pani grała matkę bohatera, która umarła na dziesięć lat przed rozpoczęciem akcji.

Numer 9. Rok X. Kraków, dnia 27 Lutego 1927.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1927: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli" 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.**

Karnawał-Popielec.

Kończy się karnawał... Za kilka dni zamilkną dźwięki skrzypek i basetli, ucichną wspaniałe zabawy, a po wsiach i miastach zapanują smutek i cisza. Nadejdzie czas wielkiego postu, który nam przypomni, że wszystko na świecie, choćby to było najrozkoszniejsze, przeminie, jak ten złoty karnawał, i pozostanie po tem tylko wspomnienie, mniej lub więcej przyjemne.

Ze smutkiem wspomni karnawał niejedna panienka, która do niego przywiązywała tak wielkie nadzieje, która marzyła, że będzie on dla niej, jako dla panny, ostatnim karnawałem. Wspomni ze smutkiem, gdyż jej serdeczne marzenia się nie spełniły i trzeba będzie może długie tygodnie, a nawet miesiące czekać na zamążpójście.

Wspomni ze smutkiem karnawał niejedna matusia, która w nim dla swej jedynaczki wyglądała zaklętego królewicza w pozłocistej zbroi, a dla której znaleźć nie mogła ani zwykłego zjadacza chleba. Ileż niejedna wydała złotówek na zakupno najrozmaitszych świecidełek i innych rzeczy, z których teraz niema najmniejszego pożytku!

Wspomną ze smutkiem karnawał także ojcowie rodzin, którzy nieraz pozapożyczali się na lichwiarski procent, aby tylko uprzyjemnić parę chwil sobie i swej rodzinie. Wspomną ze smutkiem, gdy nieraz ta żona lub córka, rozbawione w karnawale, swym uśmiechem uroczym wyciągały od nich ostatni grosz ciężko zapracowany, aby się tylko zabawić i uprzyjemnić sobie życie. A wspomną tembardziej ze smutkiem, gdy równo z końcem karnawału skończą się dla niech i czułe uśmiechy na ustach jego najbliższych, a owszem niejedno cierpkie słowo z nich padnie.

A i niejeden młody kawaler wspomni ubiegły karnawał ze smutkiem, jeżeli sobie przypomni, że w dniach wesołości mógł sobie wybrać towarzyszkę życia, któraby mu była osłodą w pracy i w trudach jego zawodu. Wspomni i pożałuje, że dał się ubiedz innemu i pozwolił sobie niejako zabrać smaczny kąsek od ust własnych.

Wielu, bardzo wielu będzie takich, którzy pożałują ubiegłego karnawału. Ale będą i tacy, na których twarzach nadchodzący post nie wyciśnie najmniejszego śladu żałości. A tymi będą ci, którzy w twardej walce o byt codzienny nie zaznali ani zabaw ani rozkoszy. Dla nich kończący się karnawał wydawać się będzie jakiemś zjawiskiem, które się przed nimi niespodziewanie wychyliło, rozbłysło i znikło, nie wywierając nawet najmniejszego wrażenia.

Popielec przyniesie więc dla jednych smutek i żałość za ubiegłemi dniami, za minioną radością i weselem, dla innych będzie on tylko wspomnieniem jakiegoś niecodziennego szału, w którym sami nie brali udziału. Ale popielec dla wszystkich nas powinien być czemś więcej, aniżeli przemijającą refleksją minionych dni. Popielec powinien nam przypomnieć, że po życia karnawale przyjdzie kiedyś twardy obrachunek z czynów naszych, jakich dokonaliśmy w życia naszego karnawale. Policzyć się wówczas musimy, czy zeszło ono nam jedynie na gonieniu za rozrywkami, za znikomemi uciechami świata, czy też były w niem również czyny nie przemijające, ale trwałe i owocodajne.

Gdy się skończy karnawał życia, to on już nigdy nie powróci, jak ten karnawał kalendarzowy, i nie będzie czasu na odrobienie spraw zaniedbanych, na poprawienie czynów niezgodnych z etyką i religją. Wówczas klamka zapadnie i nic już odrobić się nie da. Toteż nim ten karnawał się skończy trzeba zawczasu myśleć, aby przy jego końcu nie zostać zaskoczonym i nie żałować swych postępków, kiedy już na żal będzie zapóźno!

W szpitalnej celi.

Pamięci Kolegów
poległych w walkach pod Warszawą 1920 r.

I.

Było to późną jesienią.

Czarna, wichrowa, jesienną szarugą rozpłakana noc, pełna niewysłowionej, pustynnej dzikiej melancholji i tęsknicy — rozsiadła się jak zmora skrzydlata po okolnych górach i polach mej ziemi. Okropna jakaś ponurość i smęt nieukojony, rozełkany, jęczący szybował jak ptak niewidzialny w otchłaniach przestworzy. Z drzemiących w dalekościach gór i pól mknął straszliwemi nocnemi echy głuchy, przeciągły, wstrząsający huk armatni, szczęk broni, jakby podziemny ustawiczny tętent walczących z sobą sił; posępny, do skargi cmentarnych brzóz podobny jęk rannych, konających na polu chwały, — płynął z poszumem wichrowych fal przez pola obficie krwią ofiarną zroszone. Dokoła tylko szum, ryk, świst, jęk...

A nad samotną polną drożyną płakały smutno, targane falą wiatru odwieczne topole. I szedł od nich po polach i sinych wzgórkach blady, grobowy dech Samotności... A ziemia drżała, skarżąc się bezkresnym mrokom na dolę swoją, smutną, łzawą... Wicher usilnie pracował, wyjąc i szarpiąc białe, w mrokach pogrążone brzózki... Powietrze przepełnione było grozą nocną i zapachem lejącej się z żołnierskiej piersi ofiarnej krwi. Na widnokręgu urągają się targane skrzydłem wiatru krwawe łuny pożarów świecących jak złowrogie języki na czarnem tle błękitów niebieskich. I szumiało morze płomieni dokoła. Wszędy czuć było krwawy zapach Śmierci nieubłaganej — okrutnej — chciwej — mordującej życie...

W oddali, w głębiach mroków, na wzgórzu, jak widmo jakie zaklęte, chwiał się na czarnem tle nieba jęczący głucho bór...

I smutno mi było i, ciężko mi było, a serce me żarła tęsknota i ból...

Owiany tumanami ciemności, oświecony krwawym ogniem łun nocnych pożarów, miotany na wszystkie strony falą wichru, smagany z góry deszczem okryty pyłem i dymem; zgłodniały, zziębły i znękany jak pielgrzym, szedł z zapałem i wiarą, z swawolną piosnką na ustach i dziarską duszą w łonie młody polski żołnierz w krew i znój, na śmierć i życie do boju, do walki z wrogiem polskości, po wolność, po Chwałę, po lepsze Jutro dla ukochanej, miłej Ojczyzny, pragnąc wznieść Ją ogromem swych trudów i poświęceń na wyżyny Szczęścia, Dobrobytu i Potęgi...

O cześć Ci, polski bohaterze nowej ery...

II.

Pod borem, na krańcu spalonej wioski, w ciemnościach ukryty majaczy jakiś namiot-szpital wojskowy... W cichej, bladem światłem kaganka oświeconej celi, kona młody żołnierz, polski bohater, śmiertelnie w pierś raniony. Stach, jedyna matki staruszki nadzieja i podpora starości. W ostatniej jeszcze życia chwili ucieka myślą hen w dal, ku swej matuli, ku potężnych Karpat stokom szumiącym czernią borów odwiecznych... Tam — tam daleko gdzieś — jego chatka w ubogiej stoi wiosce... Tam jego mateńka, która go wychowała sobie i Ojczyźnie na pociechę... która w stanowczej, groźnej chwili oddała go — swego jedynego — w ofierze matce — Ojczyźnie, by spłacił jej dług winny, dług synowski, by dołożył jedną cegiełkę do budowy wielkiego gmachu Macierzy...

Śpi —spoczwając po długich bezsennych nocach, po żmudnej walce, po trudzie, po wylanej z serca krwi gorącej, młodzieńczej. Niekiedy głuchy jęk uleci z rozdartej śmiertelnie piersi Stacha, odbijając się echem w pustej komnacie...

Za ścianą wył złowrogo wiatr, bór huczał, jęczały tajemniczo i smutno przydrożne samotne drzewa.

W celi Stacha smutno i tęskno. Ciszę głęboką przerywał tylko od czasu do czasu smutny jęk rannego i cichy szept modlitwy ks. kapelana, który przed chwilą ostatnią przysługę oddał konającemu i czuwa obecnie nad nim, badając jego drgnienie, szept ust jego spalonych całunem zbliżającej się śmierci...

Leżał z przymkniętemi oczyma, które śmiertelnem zachodziły bielmem, a nadchodząca śmierć wyciskała na jego skroni swe srogie, niestarte piętno...

Śnił...

Śnił przeszłość swą tęczową, słoneczną, krwawe szlaki wojny... Śnił żołnierską pieśń bojową... Marsz... atak... szturm... krew... pożary... jęki... na końcu — cios śmiertelny... szpitalna cela... samotność... śmierć... Czuł ból ogromny, lecz cieszył się niezmiernie, że to dla Ojczyzny... dla Matki-Polski ukochanej cierpi... że to szczyt jego marzeń — ziszczenie długich snów... Dziś jeszcze pamięta te chwile dziecięce, ten świt życia promienny, kiedy to matuś jego kochająca karmiąc go swą piersią i tęskne nucąc mu kołysanki, szeptała mu z wielką macierzyńską miłością i mocą niebosiężne święte słowo pełne słodyczy i słoneczności:... Ojczyzna... Polska...

Pamięta... I słyszy dziś jeszcze i upaja się serce jego słodkim brzmieniem: Polska! — i widzi te ojczyste rozległe ziemie krwią męczenników zroszone i kośćmi ich posiane od morza do morza sięgające. Widzi...I duchem zrywa się w dal i leci jak orlę skrzydlate, leci nad niwę ojczystą pełną świętości wielkiej... I widzi te niezliczone, zapomniane mogiły oddane w opiekę słońcu i ptaszętom polnym, które im nucą swe pienia tęskne, rozełkane, łzawe... Widzi dawną potęgę jej i chwałę, krwawe zwycięskich bitew pola, zmaganie się polskiego oręża z dzikimi najeźdźców hordy; słyszy radosne zwycięzców okrzyki i jęki zwyciężonych; i cieszy się z potęgi kochanej Ojczyzny i płacze nad jej upadkiem i sromotną niewolą. Cierpi ból serdeczny i żal dla wyrodnych Jej synów, zdrajców, podpisujących bez lęku dekret haniebnej śmierci dla swej miłej własnej Matki-Ojczyzny. Wielbi jej prawych synów-bohaterów, bojowników Wolności, honoru i Prawdy. Widzi szlachetnych swych przodków konających za podjęcie Wielkiej Sprawy męczeńską śmiercią. Słyszy głuchy zgrzyt łańcuchów na rękach i nogach i żałosny, skarżący jęk wygnańców Sybiru, Polaków prawych. Widzi bohatera w chłopskiej siermiędze, idącego między lud wieśniaczy, zbrojąc go i wiodąc z kosami w czarnych od pługa dłoniach na wielki, mściwy, święty bój — który miał w obliczu świata zetrzeć piętno hańby z czoła wyrodków, pełnych zgnilizny i podłości, który miał Ojczyznę konającą natchnąć nowem, idealnem życiem, i wznieść Ją ku Słońcu Chwały. Widzi długą noc niewoli społecznej, pełnej okropności, brzemiennej w chmury, błyskawice krwawe i rozpalonej straszliwemi gromy.

I głuchy jęk i zew jakiś rozpaczny, straszny wydobył się z jego ustającej piersi i tęskny wzdych skargi uleciał ze zbolałej konającego duszy ku niebu — w nieskończoności...

I zapalił się duch jego nadziemskim jakimś żarem synowskich uczuć... Wszak i on za tę Matkę najdroższą walczył jak lew, choć dzieckiem, pastuszkiem będąc poszedł w pole chwały pomścić wiekowe krzywdy na odwiecznym wrogu.

I ziściły się sny jego... Oddał ukochanej swojej to, co miał najdroższego; krew, siły swoje...

I oto kona tu, w tej celi głuchej, zdala od swoich, kona z miłością ku Ojczyźnie. I słodki, błogi uśmiech zadowolenia przeleciał mu jak błysk po zwiędłej spalonej ogniem gorączki jego młodzieńczej skroni.

Kona...

A tam gdzieś tęskni jego matuś; płacze... śni... marzy... czeka... wzdycha...: Wróć mój Stachu, wróć... Wróć! niech cię uściskam serdecznie... wróć najmilszy mój, aniele mój złoty.

On słyszy żałosne jej wzdychania, płacz kochającego jej serca i widzi wyciągającą doń ramiona spracowane i słyszy stęsknionego jej serca błagalne bicia...

— Wróć, wróć w me objęcia, Stachu mój jedyny. Dla Ciebie żyję, dla ciebie... Pójdź...

Słyszy... Lecz serce jego ustaje, spalone miłością swej matki i niewymownie się cieszy z ziszczenia swych marzeń. Oto idzie w kraj duchów — śladem swych współbraci po wieniec Chwały... Idzie... Tam jasne zorze mu świecą, nowe powstają przed nim słońca... Idzie w kraj Światłości... Kończą się jego bole... tęsknoty...

Zbudził się z długich męczących snów i trawiony gorączką śmiertelną wyszeptał półgłosem:

— Ojczyzno, Ojczyzno moja, dla Ciebie...

I cisza grobowa panowała w szopie. Wicher tylko gwałtowny jęczał i szumiał na dworze, targając wierzchołkami borów dalekich. Nad łożem chorego płonął cicho kaganek olśniewając bladą twarz konającego. Ksiądz kapelan szeptał cicho pacierze za konających. Chory próbował się podnieść, lecz brakło mu sił i upadł bezładnie na twarde posłanie.

— Matko, matko...Anielko ty moja. Czy pamiętasz o mnie?...

I chciał coś dalej mówić, lecz słowa zostały mu prawie na spieczonych wargach.

I cisza znowu bezdenna. Deszcz tylko z szelestem pracował po szerokich rozłogach pól. Cicho, i wszędy ciemności straszliwe, senne... Na czoło konającego wystąpił zimny, kroplisty pot śmiertelny; a oczy zasępił mu mrok zbliżającego się skonu, te oczy co przed chwilą siały gromy w stronę wroga... Serce biło mu coraz powolniej, słabiej... Chwilami wił się i jęczał, jakby chciał się wyzwolić z pod ucisku okropnej nadchodzącej śmierci, wydzierającej mu bezlitośnie młode ,nierozwinięte życie...

Nad łożem konającego wisiał, olśniony słabem światłem lampy cudny obraz Madonny, która, wyciągając doń miłościwe swe dłonie, zdawała się szeptać do niego słodkim, anielskim głosem:

— Pójdź do mnie, wierny synu Ojczyzny, który przelałeś dla Niej ochotnie swą krew. Pójdź, odebrać wieniec nieśmiertelnej Chwały. Pójdź bohaterze polski, godny imienia wielkich twych przodków.

I dziwna słodycz i błogie ukojenie wstąpiły w serce umierającego, na którego bladych skroniach błysnęły dwie jasne perły... Płynęły chwilę jedna za drugą cicho, smutno...

Po chwili chory dobywszy ostatka sił skinął na ks. kapelana i rzekł urywanym, drżącym głosem:

— Ojcze kochany. Ty czuwasz jeszcze nade mną? Nie zmożył cię sen?...

— Śpij synu — odrzekł spokojnym głosem kapłan — śpij spokojnie. Bóg czuwa nad tobą i św. Madonna. Chwila już niedaleka... Śpij... Chóry aniołów czekają na ciebie na jasnej niebios drodze... Odejdziesz wkrótce w dal, z mroków ziemskich na wyżyny Słońca...

Milczenie...

A tylko fala wichru przeleciała ze świstem ponad szopą, wstrząsając gwałtownie jej dachem.

Około północy chory przejrzał znów i wyszeptał cicho, ledwo dosłyszalnym głosem:

— Ojcze mój, mam jedną, ostatnią prośbę do ciebie.

— Mów synu — rzekł kapłan — wszystko dla ciebie uczynię... mów...

— Ach ojcze, oto nadeszła chwila rozstania... Tam gdzieś moja matka i ukochana Anielica... Napisz im, że dałem Ojczyźnie swe własne życie... Prześlij im ostatnie pozdrowienie i ten oto krzyż, który przypięła mi na piersiach ręka „Dziadka" tam nad Wisłą... Prześlij im na pamiątkę po mnie... Do ostatniej chwili życia kochałem swą matulę i wierny byłem kochance... Ostatnie dla nich pozdrowienie... Ojcze... Ojcze...

Tu zamilkł i dysząc ciężko, gwałtownie, jak zmordowany długą, męczącą podróżą pielgrzym, uścisnął prawicę ks. kapelana po raz ostatni i rzuciwszy zamglony zwrok na obraz Madonny św., cicho i spokojnie czystą, szlachetną swą duszą uleciał do nieba...

W celi szpitalnej zaległa głęboka cisza. Słychać było tylko cichy szept modlitwy. A nad szopą wył i huczał wicher jesienny, zawodząc tęskne i smutne swe akordy.

Świt już pobielił dalekie gór szczyty, kiedy jedna więcej mogiła urosła w głuchem, cichem polu, het pod zielonym borem...

Na mogile prosty krzyż drewniany wyciąga ramiona...

A brzozy płaczące zawodzą nad mogiłą smętnie i chylą swe warkocze nisko... Czarny bór w oddali huczy im swe dumy, a mogiła samotna, niczyjemi nie zlana łzami drzemie w dalekiej ustroni, w zapozapomnieniu. *Wojciech Byczek.*



Niezadługo...

Jeszcze dni mroźne, jeszcze śnieg prószy,
Ale nadejdzie już niezadługo
Chwila, gdy zima w drogę wyruszy —
I życie tryśnie znów świeżą strugą.
I wzejdzie słonko o pięknej tarczy —
Doda pociechy, doda otuchy,
Młodość zastąpi ten wygląd starczy,
A śpiew ptaszęcy ten cmentarz głuchy.
I po tym półśnie zimowym długim
Co tak przytłacza i co tak gniecie,
Wyjedzie oracz ze swoim pługiem —
I raźno, lekko będzie na świecie,
Szata zielona okryje drzewa,
Do pracy zerwie się wszystko wcześniej,
A jak to pięknie, gdy łan dojrzewa —
I gdy żniwiarzy zabrzmią nam pieśni?

Józef Krzyszkowski.

Rolnicy łączcie się!

Życie na ziemi jest ustawiczną walką o byt, o chleb codzienny, o los znośniejszy. Tak było przed nami, tak jest za nas i tak będzie w przyszłości. W walce tej z jednej strony człowiek słaby i ułomny — z drugiej olbrzymie góry i piętrzące się fale bezmiernych trudności, przeciwieństw i niepowodzeń. Ażeby w tem ustawicznem borykaniu się móc wytrzymać i ostać się, prosty rozum dyktuje, że ci, którzy na jednym i tym samym odcinku życia z jednym i tym samym nieprzyjacielem walczyć muszą, powinni złączyć się razem, podać sobie ręce do wspólnej obrony i walki, a wtedy stanowić będą siłę; a kto ma siłę, ten zwyciężyć musi. Rozumiejąc to, od najdawniejszych czasów człowiek łączył się razem, tworząc rodziny, osady, wsie, miasta, narody, ażeby łatwiej razem pracować i razem dążyć do wspólnego celu.

W naszych czasach idea tej łączności wzmaga się coraz bardziej, a hasło o r g a n i z a c j i obejmuje nietylko wszystkie warstwy społeczeństwa, ale już i poszczególne kraje, czego najlepszym wyrazem niedawno utworzona „Liga Narodów".

Im cięższe warunki życia, im bardziej gniecie kogo bieda i niedostatek, tem więcej powinno się bronić — tem większej potrzebuje siły, a więc tem silniejszej i potężniejszej organizacji.

A komuż dziś ciężej, kto w trudniejszych znalazł się warunkach bytu, jeśli nie my Polacy!

Mamy wolność, ale na granicach ci sami, odwieczni, zemstą dyszący wrogowie; mamy ziemię rozległą, ale tysiące braci tuła się po obcych krajach w nędzy i poniewierce za zarobkiem; mamy chleb i sól, ale tysiące bezrobotnych głodem przymiera; mamy lasy i drzewo, a bezdomne rodziny drżą od zimna w wiatrem podszytych barakach, lub ziemiankach; mamy młódź jak malowidło, ale szkół dla niej niema... i t. d. i t. d. Warunki bytu ciężkie, zaniedbania moc, przeciwieństw morze — wrogów bezliku. Jakiż więc olbrzymiej potrzeba nam mocy ciała i hartu ducha — ażeby się nie dać, ażeby się ostać i byt lepszy sobie i dzieciom zapewnić. Jeżeli komu, to nam sto razy więcej potrzeba siły do pracy — a więc o r g a n i z a c j i. Organizują się u nas prawie wszystkie stany; organizacja jest dziś powszechną i ogólną. Tworzą się związki zawodowe od najniższych do najwyższych; mamy już związki czysto narodowe robotników, stróżów kamienicznych, szwaczek, kucharek, szewców, krawców, handlarzy, kupców, urzędników, nauczycieli, oficerów, lekarzy, księży, książęta i panowie mają swój związek ziemian — nawet miasta złączyły się razem. A jednak poprawy u nas nie widać — jak było ciężko i biedno, tak jest i dzisiaj. Jakaż przyczyna? Oto ta, że organizacja objęła wszystkie wprawdzie stany i zawody, z wyjątkiem jednak najbiedniejszego t. j. stanu r o l n i c z e g o. Kraj nasz ma charakter wybitnie rolniczy, tj. uprawa ziemi jest najważniejszem i najbogatszem źródłem naszego utrzymania, zawód rolnika jest najgłówniejszem naszem rzemiosłem, rolnictwo jest podstawą dobrobytu państwa — a około 20 miljonów ludzi, czyli prawie dwie trzecie ogólnej liczby ludności kraju stanowi Stan rolniczy. Prawda, że wszyscy jesteśmy dziećmi jednej i tej samej matki — Ojczyzny, ale i to też prawdą, że stan rolniczy, będąc jej podstawą, siłą i fundamentem i będąc najliczniejszym, powinien i musi być odpowiednio do jego siły doceniany i na pierwszem miejscu postawiony, a to nie tylko ze względu na niego samego, ale ze względu na dobro samej Ojczyzny i w interesie dobra nas wszystkich.

B ę d z i e r o l n i k b o g a t y, b ę d z i e k r a j b o g a t y; b ę d z i e r o l n i k o m d o b r z e, m u s i b y ć w s z y s t k i m w P o l s c e d o b r z e! Oto wyrocznia, od której nasz los, dola i przyszłość zależy. Łączenie się razem do pracy innych zawodów jest bardzo pożądane, ale złączenie się wszystkich rolników do wspólnej pracy jest k o n i e c z n o ś c i ą p a ń s t w o w e g o bytu naszego narodu.

Tymczasem właśnie, kiedy się wszyscy inni łączą i organizują, stan rolniczy rozbity u nas na strzępy. Dzieli go coraz bardziej i rozbija zażarta walka stronnictw politycznych — wiece, wybory, nienawiść partyjna, opluwanie się wzajemne, oto żer, jaki przeróżne kruki i sępy rozdzierają pomiędzy nasz lud rolny, wtrącając go w coraz cięższą biedę. To się raz już skończyć musi.

Rolnicy! mówicie sami i wszyscy to uznać muszą, że wam dziś najciężej — że znikąd pomocy — ni ratunku, że dla was tylko przednowek — a powiedzcie mi na kogo wy czekacie, ażeby was z tej biedy ratował — odkąd już czekacie — i gdzież ta pomoc? Zrozumcie to raz, że ratować musicie się sami — i że to ratunek najpewniejszy! Patrzcie się na inne zawody, uczcie się od nich rozumu i bierzcie przykład. Kolejarze niedawno byli przyjęci przez samego p. Prezydenta Rz. P. i opowiadali blisko godzinę o swojej doli. — Delegatów ich traktuje się poważnie, bo za nimi stoi silna, zwarta organizacja zawodowa. Tak samo inne delegacje — a gdzie wasza siła? Gdzie macie swój związek zawodowy, któryby objął rolników w całej Polsce? Wszystkie dotychczasowe organizacje niby rolnicze, to jeno zabawka dziecinna, to tylko ziarnko jedno pszenicy czy żyta wobec całego metra — choćby tysiące członków, to zero wobec tych miljonów, które przedstawiacie. Gdyby te miljony silnie chwyciły się za ręce, gdyby w s z y s c y rolnicy w Polsce utworzyli jeden wspólny związek zawodowy — jedną olbrzymią organizację zawodową — jakaż byłaby to siła, potęga i moc. Stworzyłaby ona dobrobyt swym członkom i szczęście całej naszej Ojczyznie. Czy nie tak?

A więc co robić, żeby dopiąć tego celu?

Trzeba to raz zrozumieć — uwierzyć w to święcie i chcieć to zrobić. Na drugi raz podamy sposób przeprowadzenia takiej wspólnej wielkiej organizacji rolników w Polsce.

W Lanckoronie, 22 lutego 1927. *Józef Lorenz.*



Gdy wstaję rano.

Gdy wstaję rano o wschodzie słońca,
Modły me wznoszę do Ciebie,
Do Ciebie tylko, władco bez końca,
Królu na ziemi, na niebie.

Więc nie odtrącaj mnie Panie,
Mnie, o! tak marne stworzenie,
I przyjmij prośbę, przyjmij błaganie,
Ach! ukoj moje pragnienie.

Wszak tym prawdziwym Ty jesteś Bogiem
I słabych wielki obrońca,
Wszelkiej podłości i fałszu wrogiem,
Ty Boże, władco bez końca.

Racz mię ochraniać Panie od złego,
Gdyż wtedy będę szczęśliwy,
Naucz mię proszę — wiedzy dobrego,
Boże jedyny, prawdziwy.

Pozwól mi Stwórco, bym dla ojczyzny
Swoje poświęcił ramiona,
Bym, — gdy mię zmoże niemoc siwizny —
Do jej przytulił się łona.

Lazar Birnbach.

W SIEDMNASTEM STULECIU



Wielka wojna światowa pozostawiła nam w spuściźnie wielu ludzi, którzy sławili się nietylko na polu walki, ale pozostawili po sobie dla potomnych całe księgi swych utworów, opisujących bądź wierszem, bądź prozą swe przeżycia rzeczywiste, lub też opisy zmyślone pozostające w związku z wielką wojną. I nic to dziwnego, bo dziś niemal każdy umie czytać i pisać, a gdy ma tylko choćby trochę talentu literackiego, to zużytkowuje go w spisywaniu swych utworów. Dawniej było inaczej, nie rzadko bowiem można było spotkać szlachcica, który potrafił pisać, ale tylko szablą na skórze.

Lecz i w dawnych latach zdarzali się ludzie, którzy, gdy trzeba było bić, bili, a gdy znaleźli chwilę wytchnienia, ujmowali pióro w rękę i spisywali swe wrażenia i przeżycia. Ze spisywań tych niewiele przetrwało do naszych czasów, gdyż były to przeważnie rzeczy nieudolne, których przechowywać nie wartało, ale były i takie, które po dziś dzień nie straciły na swej wartości, ale są cennym zabytkiem literackim dawnych czasów. Do takich należą „Pamiętniki Jana Chryzostoma Paska".

Pasek urodził się na Mazowszu około roku 1630. Za młodych lat służył wojskowo pod znakomitym wodzem Stefanem Czarnieckim, odbywał wyprawy przeciwko Szwedom, Węgrom i Moskalom. W roku 1667, ożeniwszy się, osiadł na wsi i jako ziemianin dokonał życia około 1700 roku.

Jan Chryzostom Pasek, wojując i bijąc się dzielnie w niejednej potyczce i większej bitwie, w wolnych chwilach spisywał swe pamiętniki dla własnej przyjemności i pożytku następców, żeby się „tym jego przykładem" w przyszłości budowali. Pamiętniki te, opowiadające wypadki 40 lat (od roku 1656 do 1696) odszukano dopiero niedawno. Stanowią one w swoim rodzaju prawdziwą perłę literatury polskiej, jako dzieło nieprześcignionej prostoty i humoru, jako obraz mistrzowski umarłej przeszłości. Toteż do dzisiaj są one źródłem rozkoszy dla ducha, a pokarmem dla wyobraźni czytelnika.

Dla uzmysłowienia, jak wyglądali ówczesni żołnierze, towarzysze Paska, podajemy dwa obrazki. Na pierwszym z nich widzimy na wsi w porze zimowej zbiórkę żołnierzy, którzy mają ruszyć na zbliżającego się wroga, na drugim obóz wojsk polskich z wodzem tych wojsk, Stefanem Czarnieckim, stojącym przed swym namiotem, najokazalszym z pośród wszystkich namiotów. Jak na pierwszym obrazku, tak i na drugim brać szlachecka gotową jest na każde zawołanie swego wodza, aby iść na krwawy bój i dać życie swe w ofierze za ukochaną Ojczyznę.





Maciek Bzdura gada:

Niejednemuby się zdawało, ze w karnawale to tak łatwo gadać! A juści! Jak człek ma od rana do wiecora jadackę zatkaną, to trudno przez nią parę na świat wypuścić, choćby się jej nawet i tyle w człeku nagromadziło, co w lokomotywie. Uchodzi ona tam, gdzie nie trza, ale nie przez gębę. Bo i jakze gębę mieć próżną, kiedy jej bez cały tydzień wypocynku nie dają! Jakosik się tak tego roku złozyło, ze bez cały miesopust gęba ani dnia nie próżnowała. Ino się skończyły poseliny u Bajdziechów, a juz się zaczęło wesele u Mikrusów; jesce człek se po weselu nie odzipnął, a juz zwaliły się krzciny u Makolągwy. Po krzcinach jednych znowu krzciny u Magdy Żelazkowny. A potem oźrebiła się jałówka u Niepsuja, to znowu zmarła stara Kundzina. I tak ciągiem...

Kiedy indziej to ta ludzie jakosik wszyćko inacej przyjmują, ale w karnawale to jem wszyćko jedno: wesele cy pogrzyb, zrękowiny cy oźrebiny, byle ino okazaja była, a uciecha i wyzarcie na pocekaniu. Jak się ludzie ciesą, to byle okazja, smutna cy wesoła, a ciesenie się we wsi odbywa si ęna glanc.

To tez tego ciesenia się było tego roku podostatkiem nietylko w Psi Wólce, ale w całem kraju. A nawet w Warsiawie. Kto się zna z gazyciarzami, to wie, ze z tej uciechy w sejmie ani jednego gabinetu nie obalili, ani się posłowie po gębach nie naprali, ani zadnego większego cygaństwa w kraju nie było, jak po zesłe lata. I w przez to w całej Polsce jakiesik m a j o w e powietrze panowało, ze jaz i człekowi raźniej było zyć na świecie.

Bez to i w Psi Wólce wszyćkie urocystości odbywały się jakosik serdeczniej, cego najlepsem dowodem, ze przez cały miesopust gęba mi się nie zamykała tak ludzie byli grzecni i ućciwi. Gdziem się ino pokazał, to kuzdy pada: „A mozebyś tak, Maciuś, co przetrącił? Moze tak chleba z masłem abo ze syrem?“ A gdzieindziej i jajeśnica się znalazła i kawałek świńskiego ogona i inse bajecne potrawy, o których ani oko nie słysało, ani ucho nie widziało.

A ja, zem ta nie grymaśny, obracałem wszyćko językiem na większą chwałę Boską i nie chwalący się, choć mi nieraz chciały portcęta pęknąć, nie gardziłem darami Boskiemi ućciwą ręką ludzką podanemi. Tak tedy zyło się z dnia na dzień wesoło a ino od casu do casu trapiła mnie myśl, ze się to wszyćko kiedyś skońcy i znowu człek się rozpróźniacy.

Ale niema rózy bez kolcy! I mnie jednego wiecora taki kolec ukuł az pod samo ziebro. A było to tak. Obróciłem juz coś dziesiątą pajdygę chleba jęzorem i do jedenastej się zabirałem, co mi sło niezgorzej, bo muzyka rżnęła od ucha jakąsik tramlapolkę, kiedy ci wali do mnie Zośka od Mitręgi i pada:

— Maciuś, a mozebyśmy tak oboje raz w kółko?

— Zbaraniałaś, cy co — padam jej — jakbyś ty tyle prowiantu w sobie nosiła, co ja, toby ci się odechciało świdrygały po izbie robić. A ty co mas w sobie?

— Cholera ci do tego — powiada, — co ja mam w sobie. Nie chces hulać, to zryj dalej, a nie obrazaj ućciwych panienek.

Chciałem jej jesce co powiedzieć, ale zawinęła ogonem i juz nią Walek Podkulek obracał, ze jaz pajęcyna z powały leciała.

Jescem nalezycie swojego głodu nie zaspokoił, kiedy znowu przywlekła się do mnie Jewka Cieluchowna i poczęła mnie namawiać, zebym się z nią pokręcił. Wiedziałem, ze Jewka jest porzomna dzieucha, więc jąłem jej delikatnie tłomacyć, zeby se dała spokój i nie narazała się na pośmiewisko ludzkie. Padam jej:

— Poźryj i uwaz, cem jest toniec. Złapie jedno drugie wpół i kręcą się koło siebie, jak dwoje warjatów. A ludzie, zamiast ich związać powrozami i odwiść do śpitala, jesce się patrzą na nich, a nawet harakiem cęstują. Przecie chyba nie chces, zeby nas mieli za takich warjatów. Cyz to nielepiej siedzieć sobie i spokojnie spozywać dary Boskie, jak trząść się po całej izbie i wytrząsać wszyćko ze siebie, co się tam bez cały dzień dokumentnie uskładało.

Myślałem, ze Jewka posłucha mej dobrej rady i chciałem się z nią nawet ostatniem bocheneckiem chleba podzielić, ale gdzietam! Dzieucha jest zawse dzieuchom i jest nietylko w nogach, ale i w głowie letka. Bez to tez i Jewkę za małą chwile jakiesik złe ponosiło z Józkiem Pędrakiem po całej izbie.

Co było robić! Na głupotę ludzką niema lekarstwa, to tez i ja nie próbowałem juz zadnej więcej tej śmisności tłomacyć, ale wziąłem się dalej do swojej ućciwej roboty tembardziej, ze trzeba się było spieszyć, bo i tłusty cwartek na karku i zapusty niedaleko, to nie wiadomo, co jesce moze się przytrafić.



Wesele.

Dziś wesoło, ludzi wiele,
Grają skrzypce huczą basy —
Słychać śpiewki, tańczą dziewki,
W swych spódnicach pełnych krasy.

Stach na przedzie druhnę wiedzie,
Krzesze ognia podkówkami
I wśród ciżby pułap izby
Muska pawiemi piórami.

I tak chata niebogata
Pełna życia, ludzi wiele,
Rozśpiewana, rozegrana
Bo to Zosi dziś wesele..

Zosia młoda jak jagoda
Do piersi się Stacha tuli,
Bo go kocha, a macocha
Nie zastąpi jej matuli...

Z ukochanym i wybranym
W własnej chacie se osiędzie
I na roli w wspólnej doli
Pracowała z mężem będzie.

Dziś wesoło tańczy wkoło
Skrzypce grają, huczą basy —
Coraz ludniej — chata dudni,
Bo na taniec każdy łasy...

Aż do rana, rozśpiewana
Chata Zosi jeszcze będzie
Grzmią wiwaty — piją swaty,
Radość i ochota wszędzie...

Robert Rydz.

Wśród puszcz i stepów.

7. Łowienie bobrów.

Opuściliśmy młodego myśliwca i murzyna Cezara w chwili, gdy mieli sobie upatrzyć miejsce dogodne na nocleg. Serce prawe wyciągnął czółenko swoje z wody, a Cezar, nie czekając rozkazu, wziął je na plecy i poszedł za nowym panem tak żwawo, jak gdyby nie czuł wcale tego ciężaru. Na dobrodusznej jego twarzy



Cezar wzrokiem wytężonym spoglądał na staw.

igrał ciągle wesoły uśmiech i kiedy niekiedy nogi zdawały się same unosić do podskoku. Łatwo było poznać, że chłopiec zachwycony był zmianą swego położenia.

— Więc ty naprawdę obeznany jesteś z puszczą? — zapytał myśliwiec po dłuższej chwili milczenia.

— Oho! Cezar doskonale zna puszczę.

— Rad jestem z tego, a i dla ciebie to dobrze.

— Ja też niezmiernie się z tego cieszę.

— A czy znasz się także trochę i na polowaniu?

— Pan Smith lubił nad wszystko polowanie, — Cezar mu zawsze towarzyszył.

— Na jakąż zwierzynę polowaliście z tym panem?

— Polowaliśmy na jaguary, kuguary czyli pumy, pantery, rysie kanadyjskie, wilki stepowe, śmierdziele niedźwiedzie czarne, szopy, dydelfy, no i na wiele innych zwierząt.

— Hm! aż miło posłuchać. Więc twój pan celnie strzelał?

— Doskonale, znakomicie!

— A ty, czy miałeś kiedy strzelbę w ręku?

— Czy raz?! I umiem także strzelać.

— Radbym się o tem przekonać.

— To niechże pan pozwoli Cezarowi strzelić na próbę.

— I owszem. Czy widzisz tę wiewiórkę, tam wysoko, aż na szczycie jodły?

— Widzę ją doskonale.

— Jakże ci się zdaje, czy potrafiłbyś ją zastrzelić? Murzyn się roześmiał i podniósł ciężką strzelbę jedną ręką. Mierzył bardzo krótko: strzał padł i w tejże samej chwili wiewiórka osunęła się z wyższej gałęzi na niższą i spuszczając się kolejno z jednej na drugą, w końcu spadła na ziemię. Miała głowę przestrzeloną na wylot.

— To był strzał mistrzowski! widzę, żeś był w dobrej szkole — powiedział Serce prawe z widocznem zadowoleniem, biorąc strzelbę z rąk murzyna i niezwłocznie nabijając ją na nowo.

Cezar włożył znowu czółenko na plecy i poszedł za myśliwcem, postępującym przodem.

— Czy widziałeś także bobry i znasz sposoby łowienia ich? — spytał Serce prawe, zawiązując na nowo przerwaną rozmowę.

— To rzecz dziwna, Cezar nigdy nie widział żywego bobra, chociaż tyle się po lasach nawędrował — odparł murzyn.

— I nie wiesz, jakim sposobem się łowią?

— Nie słyszałem o tem nigdy. Dawny pan Cezara nie lubił łowić bobrów.

— To mnie dziwi. Mało jest zwierząt tak osobliwych, jak bobry; ja też z wielkiem upodobaniem je łowię, — jestem myśliwcem i traperem zarazem.

— Toż dopiero radość dla Cezara! nauczy się jeszcze i bobry łowić — i murzyn znowu dał susa.

— Zaraz jutro rano będziesz miał tę przyjemność.

Po chwili myśliwiec się zatrzymał. Znajdowali się obecnie w małej kotlince, zamkniętej pomiędzy dwoma wzgórkami.

— Tu rozłożymy się na nocleg — rzekł Serce prawe i ustawił strzelbę pod drzewem — czy wiesz, co mamy do roboty?

— Sporządzimy sobie najpierw szałas z gałęzi — odpowiedział murzyn bez namysłu.

— Dobrze, widzę, że znasz życie leśne. A więc do dzieła — i myśliwiec wyjął siekierę z za pasa.

— Cezar to wszystko sam zrobi — rzekł murzyn.

Chwycił siekierę z rąk myśliwca i zrąbał cztery młode drzewka, z których w przeciągu chwil kilku sporządził cztery pale rozmaitej długości. Wbił je potem w ziemię, tworząc czworobok; dwa krótsze pale umieścił naprzeciw dwóch dłuższych, potem powiązał je pomiędzy sobą u góry giętkiemi pręcikami. Następnie naciął liściastych gałęzi i ułożył je w taki sposób na wierzchu, że utworzyły wyborny spadzisty dach, mogący nawet od deszczu zabezpieczyć. Ziemię w szałasie usłał liśćmi i mchem. Serce prawe nie mieszał się do niczego, lecz wsparty o pień drzewa spoglądał z zadowoleniem na murzyna — bo też miło było patrzeć, jak zręcznie i porządnie szła robota.

— Czy już koniec? — spytał Serce prawe, gdy Cezar urządził szałas, jak należy, przykrywszy nawet i bok jeden od strony wiatru gałęziami.

— Jeszcze Cezar ma ogień rozpalić dla odstraszenia zwierząt drapieżnych od obozu.

Co rzekł, to uczynił. Wziął znów siekierę i pobiegł z nią żwawo w las, a w dziesięć minut powrócił, niosąc duży pęk suchego drzewa. Tymczasem Serce prawe wyjął z torby myśliwskiej upolowaną dziką gęś, oskubał ją, wypróżnił, a wszystko to trwało jedną chwilę. Następnie za pomocą krzesiwa rozpalił drzewo, ułożone w stos przez Cezara, ten zaś zastrugał kij i zatknąwszy gęś na rożen, umieścił ją przy ogniu. Wkrótce miły zapach rozszedł się dokoła w powietrzu.

Jakże to pieczyste smakowało obu wędrowcom! Zabrali się do niego tak żwawo, że wkrótce z dużej gęsi kosteczki tylko zostały.

Ściemniło się przez ten czas zupełnie, to też myśliwiec z murzynem udali się zaraz po wieczerzy na spoczynek. Noc upłynęła bez żadnych przygód; o świcie obaj się przebudzili jednocześnie i wyszli z szałasu. Cezar znowu wziął łódkę na plecy i puścili się w dalszą drogę. Słońce wzniosło się już wysoko ponad widnokręgiem, gdy stanęli na brzegu dość dużego, bagnistego jeziora. Myśliwiec zatrzymał się za kępą drzew, skąd widzieli doskonale całe jezioro, sami będąc ukryci.

— Jesteśmy na miejscu — rzekł Serce prawe.

— Czy to tu mają być bobry? — zapytał murzyn ze zdziwieniem.

— Tu właśnie są.

— Nigdzie ich jednak nie widać!

— Tak ci się zdaje, przypatrzno się lepiej. Czy nic osobliwego nie dostrzegasz na tem jeziorku?

— Ależ nic a nic.

— Czy tak? A przecież to jeziorko jest prawdziwą osobliwością.

— Cóż ono ma w sobie nadzwyczajnego?

— Ani się domyślasz, że masz przed oczyma staw sztuczny, przez bobry urządzony. Przedtem płynął tu tylko mały strumyczek, stawu nie było i śladu, niedawno się pojawił.

— I skądże się wziął?

— Stąd, że bobry w poprzek tej kotlinki zbudowały groblę, którą też i przez strumień przeprowadziły. Bieg jego tym sposobem się zatamował, woda wystąpiła z brzegów i zalała kotlinkę aż do grobli, na tej zaś powstał mały wodospad. Możesz to wszystko obejrzeć własnemi oczyma.

— To jednak rzecz dziwna — mówił murzyn, słuchając tych objaśnień z największą uwagą — bo z czegoż takie bobry mogą pobudować groblę?

— Ba! rąbią drzewo. Mają one narzędzie wyborne: i cieśla lepszemi się nie pochwali. Stwórca dał im zęby nadzwyczaj silne i ostre; rozcinają nimi pieńki do trzydziestu i więcej centymetrów mające. Czy widzisz te pagórki zaokrąglone, tu i owdzie rozsypane na wodzie u brzegów stawu, a nawet i po środku? Otóż to są właśnie domy bobrów. Budują je zwykle blisko brzegu, ale także i po środku stawu, urządzonego przez siebie, na mieliznach. Wygrzebują najpierw w kierunku ukośnym przejście podziemne, którego otwór ukryty jest pod powierzchnią wody. Budynek właściwy wznosi się ponad wodą, lecz tylko podwodne ma wyjście. Niełatwo je zejść przy robocie, bo są nadzwyczaj lękliwe i czujne i za najmniejszym szelestem ukrywają się w wodzie. W nocy nawet w osadach bobrów rozstawione są straże, dające znać o niebezpieczeństwie szczególnem klaskaniem. Już to co prawda najsroższym nieprzyjacielem tych niewinnych stworzeń jest człowiek; w niektórych okolicach tak zawzięcie na nie polowano, że wytępiono je zupełnie...

— O ciszej, panie, ciszej — szepnął Cezar i wzrokiem wytężonym spoglądał na staw.

— A tak, to one — odpowiedział myśliwiec również półgłosem — możesz je teraz dokładnie obejrzeć.

W rzeczy samej niezbyt daleko od brzegu, na którym stali nasi znajomi, wychyliło się z wody kilka bobrów. Goniły się po stawie, to dając nurka, to znów wypłpwając na powierzchnię, uderzając ogonami, a woda pluskała i rozbryzgiwała się dokoła. Podczas gdy jedne, młodsze zapewne, igrały w ten sposób wesoło, ukazały się inne, spokojne i poważne i spoglądały zdaleka na zabawy swych towarzyszy, nie okazując jednak najmniejszej ochoty wzięcia w nich udziału. Wreszcie popłynęły do brzegu i wylądowały. Cezar wstrzymywał oddech i patrzał na nie z ciekawością niewypowiedzianą. Bobry przysiadły na tylnych łapkach obok młodego drzewka rosnącego na brzegu stawu i zaczęły je zębami obrabiać.

— Czy pan do nich nie będzie strzelać? — spytał Cezar ledwo dosłyszalnym głosem.

— Broń Boże — odrzekł również szeptem Serce prawe — strzał wystraszyłby je tak, że przez dni kilka żaden-by nie wylazł z kryjówki.

Chociaż obaj mówili bardzo cicho, musiały jednak bobry ich dosłyszeć. W mgnieniu oka pomknęły do wody i znikły.

— Jaka szkoda! — rzekł murzyn.

— Tym razem nie na długo się zapewne przestraszyły, — możesz stąd jednak brać miarę, jak są lękliwe.

— Jakimże sposobem można schwytać takie mądre i przezorne zwierzątko?

— Niełatwa to sprawa w rzeczy samej. Łowiec musi mieć tyleż przebiegłości i dowcipu, co i onę. Opowiem ci, jak ja te łowy urządzam. Mam do tego wyborne sidła, o mocnych, żelaznych kleszczach. Zastawiam je przy brzegu, gdzie są mieszkania bobrów, wybierając do tego zazwyczaj godziny popołudniowe, bo one wtenczas siedzą w swoich kryjówkach. Nie dość na tem, wbijam oprócz tego pal w dno jeziorka i przytwierdzam doń sidła łańcuszkiem, bo inaczej silny zwierz pociągnąłby je za sobą i umknąłby wraz z sidłami. Za przynętę służy mała gałązka umaczana w pewnej cieczy, mocno woniejącej, którą my miksturą nazywamy. Jeden koniec gałązki wkłada się w sidła, drugi sterczy nad wodą na siedm do dziesięciu centymetrów. Zwabiony ulubionym zapachem, bóbr się przybliża, a jeśli jest niedoświadczony, porywa gałązkę i z całych sił ją ciągnie. Tym sposobem porusza kleszcze, które wyskakują i chwytają go za nogi. Zwierzę przerażone usiłuje się wyswobodzić i zwykle póty nadaremnie szamoce się pod wodą, póki nie osłabnie i nie zginie. Czasem jednak duży i silny bóbr ciągnie za sobą sidła i wyrywa pal, a traper gonić musi za nim z trudem niemałym. Lecz w takim razie musi zaniechać nadal łowienia bobrów w tem miejscu, bo wypadek ten służy wszystkim za przestrogę i mają się na baczności .Stare doświadczone bobry nietylko same nie wpadają w sidła, lecz ochraniają swych młodszych braci od niebezpieczeństwa; umieją bowiem tak zręcznie szturchnąć sidła kijem, że kleszcze zaskakują nic nie złowiwszy i nieszkodliwe się stają.

Myśliwiec umilkł, murzyn zamyślił się na chwilę, wreszcie zapytał:

— Czy pan zastawił już sidła w tym stawie?

— Zastawiłem ich z tuzin.

— I sądzi pan, że się co złapie?

— Zobaczymy. Sidła po większej części umocowane są z tamtej strony stawu. Może też się złapało choć parę bobrów.

Lecz ku wielkiemu niezadowoleniu naszego trapera, jeden tylko bóbr dał się ponętną „miksturą" zwabić do pułapki. Długość jego ciała wynosiła około 80 centymetrów, długość ogona 30, a wysokość od stóp do grzbietu 28 cent.

— Nie powiem jednak, ażeby bóbr bardzo był ładny — mówił murzyn, przypatrując się uważnie zdo-

byczy, ale to futerko ciemno-brunatne jest prześliczne.

— Ogon bobra wydaje się najdziwniejszy, a także i tylne łapy, bo ogon pokryty jest łuskami zamiast sierści, a tylne nogi spięte błoną.

— Bóbr jest doskonałym pływakiem. Tylnemi nogami posługuje się, jak wiosłami, ogon zaś zastępuje mu rudel, używa go do kierowania reszty ciała w wodzie.

— Taka skórka musi się drogo sprzedać! — rzekł murzyn, który ośmielony przez myśliwca puścił wodze swej gadatliwości.

— Bardzo drogo. Gdyby te skóry nie były kosztowne, niktby się z takim trudem nie uganiał za bobrami. Z jednego bobra traper może mieć dochodu od 8 do 18 dolarów.

— A ogona pan nie wyrzucił?

— Z ogona będziemy mieli wyborne śniadanie — rzekł Serce prawe.

— Ogień trzeba rozpalić! — zawołał Cezar i nie czekając odpowiedzi, wziął siekierę i poszedł po drzewo do lasu. W kwadrans potem soczysty ogon bobra smażył się przy ognisku.

— O, to to pysznie pachnie — mówił murzyn, wciągając woń ponętną w nozdrza.

— A lepiej jeszcze smakuje — dodał myśliwiec.

Osobliwsza ta pieczeń gotowa była w krótkim przeciągu czasu i rzeczywiście okazała się bardzo smaczną.

Po śniadaniu myśliwiec powstał z kłody, na której usiadł wraz z murzynem i zaczął zbierać swoje graty, gotując się do drogi.

— Co za głupia sprawa — rzekł niechętnie — żeby też teraz właśnie nie mieć szczęścia, kiedy mi te skórki najpotrzebniejsze. Widzę, że nie załatwię się z tem prędzej, jak za dwa lub trzy dni. Bardzo mi to nie na rękę.

— A czy nie lepiejby to było, proszę pana, żebyśmy tu gdzie niedaleko od stawu poczekali?

— Na nicby się to nie przydało — odrzekł myśliwiec — odstraszylibyśmy tylko bobry. Zresztą dziś już niema co zaglądać do sideł, wrócimy więc jutro o tej samej porze.

Nazajutrz zastali dwa bobry złapane; trzech jeszcze brakowało do liczby, którą traper, wedle umowy, miał odnieść osadnikowi, jako resztę zapłaty za murzyna. Następnego dnia znowu dwa bobry były w sidłach.

— A do pioruna! jedna pułapka znikła! — zawołał Serce prawe z niezadowoleniem.

— A ot tam, tam! — zawołał Cezar, wskazując na środek stawu.

— Patrzcież go! Wyrwał pal i pułapkę mi zabiera — mówił traper, rzuciwszy okiem w tę stronę — ale poczekaj, bratku, ze mną nie taka łatwa sprawa. Dawaj tu prędzej łódkę!

Cezar podskoczył pędem strzały i po chwili łódka kołysała się na wodzie.

Tymczasem bóbr był już niedaleko swojego domu, ale i pogoń zbliżała się coraz więcej. Już mieli go dosięgnąć, gdy nagle zwierzę dało susa i znikło w wodzie.

— Niestety! już się pewnie dostał do swego korytarza i ukryje się w domku.

— Chciałby on tej sztuki dokazać — odparł spokojnie traper — ale mu się to nie uda, bo nie wejdzie do tego korytarza, mając nogi ściśnięte kleszczami.

— I cóż dalej będzie? pan myśli, że on utonie?

— Nie; posiedzi biedak pod wodą, póki mu oddechu nie zabraknie, — wypłynie na powierzchnię, na widok nasz znów się zanurzy. I tak raz po raz, póki go siły nie opuszczą. Wtedy z łatwością go z wody wyciągniemy.

Tak się też stało, jak Serce prawe przepowiedział i bóbr wpadł niezadługo w jego ręce.

— Teraz mam już przecież sześć skórek — rzekł traper, kładąc bobra na dnie czółenka — i to wielkie szczęście, bo trzeba będzie na długo zaniechać łowów w tym stawie.

Tegoż samego dnia przed wieczorem Serce prawe puścił się w drogę do osady Wattsona, a murzyn służył mu za przewodnika. Dnia następnego około dziesiątej zrana Cezar oznajmił, że najdalej za pół godziny staną na miejscu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Polskie piśmiennictwo ludowe

Dawniej czytanie i pisanie należało do rzadkości i wielkiej sztuki, nawet sami królowie nie umieli czytać, jak n. p. u nas Bolesław Chrobry.

Po wynalezieniu druku łatwiej było wydawać książki, które wychodziły coraz w większej ilości i budziły u ludzi zainteresowanie, ale wówczas nikt nie pomyślał o gazecie, bo sztukę czytania posiadali ludzie w bardzo małej ilości.

Pierwsze polskie pismo perjodyczne zaczęło wychodzić w Warszawie w r. 1661 za króla Jana Kazimierza. Nazwa tego pisma brzmiała „Merkurjusz polski ordynacyjny, dzieje wszystkiego świata w sobie zawiarający dla informacji pospolitej“ wydawany był przez Jana Aleksandra Gorczyna.

Lecz rozkwit czasopism w Polsce przypada dopiero za króla Stanisława Augusta, wychodziło wtenczas w Polsce około 90 różnych czasopism. Na czoło tych gazet wybił się najbardziej „Monitor“ wydawany przez Jezuitę Franciszka Bohomolca. Współpracownikami byli najznakomitsi ludzie z XVIII wieku. Toteż gazeta ta stała na straży tego, co dobre a ganiła wady w społeczeństwie, ujmowała się za chłopem i potępiała ciemnotę.

Wszystkie powyższe gazety były redagowane dla inteligencji, szlachty i duchowieństwa. Chłop był wówczas jeszcze ciemnym analfabetą, toteż polskie czasopiśmiennictwo ludowe musi się znacznie opóźnić, gdyż przejdą jeszcze całe pokolenia włościańskie przez to ciężkie życie ziemskie a nikt nie wspomni o jakiejś dobrej gazetce. Bo oto pierwej nim się pokażą gazetki ludowe muszą z zachodu Europy zawiać hasła o godności ,wolności, równości i braterstwie człowieka. Hasła te trafiły do dusz szlachetnych mężów, dla ludu przychylnych, jakimi byli w Polsce Naruszewicz, Hugo Kołłątaj, Staszic i inni.

Polska upada i smutne doświadczenia dziejowe pouczyły wyższe warstwy ludności, że w myśl zasad idei Tadeusza Kościuszki: „przez oświecony lud do wolności“ działając, można budować nadzieje na niepodległą przyszłość.

W r. 1773 powstaje Komisja Edukacji Narodowej potem Towarzystwo ksiąg elementarnych, szkoły klasztorne i parafialne dla ludu i lud zaczyna się coraz więcej uczyć. Potem zostaje zniesiona pańszczyzna i chłop staje się obywatelem, panem swej ziemi i powoli zacznie się odradzać moralnie i materjalnie.

Rok 1791 był rokiem zwrotnym w dziejach ludu polskiego, wówczas to została opracowana Konstytucja 3-go maja, która zwiastowała ludowi znaczne ulgi w jego położeniu społecznem.

Znacznie później zaczęto wydawać gazety dla ludu, lecz te upadały, bo lud się niemi nie interesował. Do takich gazet należały: „Krakus“, „Wawel“, „Chata“ i t. d. „Piast“ i „Przyjaciel Ludu“ w Chełmnie, i „Tygodnik Cieszyński“ na Śląsku, założony przez Pawła Stalmacha.

Kiedy dopiero po latach różnych przejść umysł chłopski został z grubsza przeorany, zaczął lud na prawdę czytać gazety.

W r. 1875 zakłada Ks. Stojałoski dwa pisemka dla ludu „Wieniec i Pszczółkę“. Są to naprawdę chłopskie gazety, które uświadomiły włościan, przez poruszanie różnych spraw, dotyczących bezpośrednio chłopa. Niedługo potem gdyż w r. 1884 zaczął wychodzić we Lwowie „Przyjaciel Ludu“ redagowany przez Bolesława Wysłoucha, gazeta wówczas wielce patrjotyczna i ideowa.

W r. 1896 założono w Krakowie pismo „Polak“, był to miesięcznik dla ludu wydawany przez Jana Popławskiego. Pismo to popularne liczyło wielu zwolenników.

Pod zaborem rosyjskim wśród wielkiego chaosu politycznego zaczął wydawać Konrad Pruszyński „Gazetę Świąteczną“, która miała za cel uświadomienie chłopa w jego położeniu moralnem i materjalnem.

Tamże znany gorący działacz na niwie włościańskiej Mieczysław Brzeziński, w ówczesnym tygodniku „Głos“ założonym w r. 1886 silnemi artykułami wpłynął na inteligencję, aby się zajęła pracą nad ludem.

W Księstwie poznańskiem jednym z pierwszych pism była „Gazeta Grudziądzka“, na Śląsku Górnym „Katolik“ założony przez Karola Miarkę i „Górnoślązak“.

Takie są najważniejsze i najstarsze polskie gazety ludowe.

Obecnie Polska może się poszczycić wielką ilością gazet ludowych, mało jednak jest takich, któreby niosły prawdziwą oświatę, gdyż większość z nich zajmuje się prawie wyłącznie polityką.

Oświęcim.

Jan Mąsior.

Poradnik gospodarczy.

W porze obecnej pszczelarz ma mało do czynienia w pasiece. Powinien jednak baczyć w dni pogodne, jak wypadł w nie oblot pszczół. W czasie oblotu doświadczony pszczelarz rozpozna bardzo dokładnie, jak pszczółki zimują i czy są jakieś braki.

Najważniejsze braki w ulu w tym czasie mogą być następujące: 1) brak pożywienia; 2) brak matki; 3) zaperzenie; 4) mysz w ulu.

Jeżeli pasiecznik nie dopilnował i mało podkarmił, to już obecnie pszczoły kończą zapasy, lub ich zupełnie nie mają. Należy więc spieszyć z ratunkiem. Przezorny pszczelarz ma w zapasie ramki szytego miodu, które bez względu na stan pogody należy natychmiast pszczołom poddać. W tym celu bez względu na pogodę otwieramy ul i do samego kłębu zimujących pszczół przysuwamy ramkę z miodem. Zimno nie tyle szkodzi pszczołom, co głód. Spadłe z głodu i zimna ratujemy tak, że wybieramy je na sito i przenosimy do chłodnej izby: gdy chuchniemy na nie, a ruszają nóżkami lub macadełkami, to kropimy je lekko sytą, tj. wodą z miodem i szukamy troskliwie matki, by jej nie zatracić. Pszczółki wskutek ciepła przychodzą do siebie i zlizując sytę, zaspakajają głód i czemprędzej zaczynają karmienie matki. Pszczoły świeżo spadłe, nie dłużej niż przed 48 godzinami można uratować. Po przyjściu do sił ożywionych pszczółek, co objawia się brzęczeniem, nakarmia się je i wsypuje do ula na plastry miodu. Gdy już wszystkie pszczółki wyciągną w górę i osiądą na plastrach miodu, należy izbę stopniowo oziębić, aby się zbiły w kłąb. Potem powinno się je wynieść i ustawić na dawnem miejscu.

Często w bardzo mroźne dnie pszczoły mogą paść mimo zapasów w ulu, jeżeli te źle ułożono na zimę i pszczółki z powodu zimna nie mogą się całym kłębem do zapasów przesunąć.

Jeżeli ktoś nie ma zapasowych plastrów z miodem, niech podkarmi syropem cukrowym, lub cukrem lodowatym. (Sposób podania opisany w jednym z poprzednich numerów).

Drugim przypadkiem jest brak matki. Jeśli np. wskutek jakiegoś wypadku lub starości matka padła w zimie, na to narazie niema rady i musimy bezmatek zostawić do wiosny. Dopiero po nastaniu dni zupełnie ciepłych, pień ten łączymy z innym lub dajemy mu zapasową matkę.

W bezmatku często następuje zaperzenie. Pszczółki, zaniepokojone brakiem matki, korzystają z każdej cieplejszej chwili i szukają jej, a przez ten niespokojny tryb życia jedzą więcej i wskutek tego gromadzi się w nich więcej kału i miseczka odchodowa powiększa się. Pszczoły nie mogąc wytrzymać, wypryskują kał, zanieczyszczając siebie i plastry.

Mogą być jednak i inne przyczyny zaperzenia, np. jeżeli ul ma zły daszek i źle jest zbudowany, tak, że zacieka woda, to wskutek tego gromadzi się dużo wilgoci na ścianach, pszczoły ją zlizują i przez to gromadzenie za dużej ilości wody w żołądku chorują.

Powodem zaperzenia bywa również sfermentowany i skwaśniały wskutek wilgoci miód, jak również niepokojenie pszczół przez szkodniki, jak dzięcioły, sikory, a przedewszystkiem myszy, które dostały si ędo ula, lub zimują pod daszkiem i ustawicznie zakłócają pszczołom spokój.

Jeżeli pszczelarz zauważy jedną z przytoczonych przyczyn, niech jaknajprędzej stara się jej zapobiedz, gdyż w przeciwnym razie straci cały pień tylko z własnej winy.

Wielką wadą w zimowaniu pszczół jest również zbyt silne opakowanie ula, gdyż wskutek tego jest w nim za ciepło, już w styczniu matka zaczyna czerwić i zapasy miodu prędko zostaną spotrzebowane. Gdy więc przyjdzie silniejszy mróz przedwiosenny, czerw przemarza i zamiast zysku strata.

Ule powinny mieć stanowczo stały dostęp świeżego powietrza przez oczko, gdyż w przeciwnym razie wytwarza się z wydychanej przez pszczoły pary wodnej wilgoć, która, jak wyżej wspomniano, jest jedną z głównych przyczyn zaperzenia.

W czasie oblotu pszczoły zdrowe i dobrze zimujące idą ostro, brzęczą wesoło, a przeleciawszy się wracają ochotnie do ula. Pszczoły, którym coś brakuje latają słabo, wysiadują lub rozłażą się po ulu i wracają do niego niechętnie.

Przy końcu lutego należy przenosić i ustawiać w nowych miejscach ule, są w nich już bowiem małe zapasy miodu, a brak zupełny czerwiu.

Jan Matysik.

Wiadomości polityczne.

O pożyczkę dla Polski. Prowadzone w Ameryce rozmowy w sprawie wielkiej pożyczki dla Polski zainteresowały ostatnio Anglików. Bankierzy londyńscy zamierzają podobno rywalizować ze sferami bankierskiemi Ameryki i w tym celu zwrócono się do rządu polskiego z pewnemi propozycjami pożyczkowemi, sięgającemi sumy 150 mil. dolarów. Rząd nasz, nie wdając się narazie w szczegóły tej propozycji, oświadczył, że rokowania mogą być prowadzone tylko bezpośrednio i to w porozumieniu z tymi czynnikami, które występują obecnie w Ameryce. W odpowiedzi na to powstała myśl porozumienia bankierów angielskich i amerykańskich dla wspólnego pokrycia pożyczki, o ileby Polska zgodziła się na skonwertowanie poprzednich pożyczek dillonowskiej i włoskiej. Stanowisko rządu polskiego zależne jest w tej sprawie od poczynionych już posunięć przez delegację finansową, bawiącą w Ameryce. Gdyby propozycja angielska nie mogła być przyjęta, istnieje nadzieja, że kapitał angielski przeniknie do naszego rynku pod postacią poważnych kredytów dla największych naszych banków prywatnych, które licząc się ze zwiększeniem kapitału obrotowego Banku Polskiego i zniżeniem stopy dyskontowej, muszą powiększyć swoje środki obrotowe. Rokowania w tym kierunku są w toku.

Zmiana polityki litewskiej? Wedle utrzymujących się w Kownie uporczywie pogłosek, pod naciskiem dyplomacji angielskiej, rząd litewski decyduje się w najbliższym czasie na zmianę polityki w stosunku do Polski. Zmiana ta miałaby się wyrażać w zgodzie Litwy na rozpoczęcie rokowań z Polską dla załatwienia wszystkich istniejących między obu państwami spraw spornych. Że w pogłoskach tych jest coś na rzeczy, świadczyłby fakt, iż w ubiegłą niedzielę po raz pierwszy przekroczyło granicę polską grono wybitnych polityków i działaczy Litwy kowieńskiej, udając się na pogrzeb swego rodaka do Wilna. Na polecenie władz polskich na granicę do stacji Zawiaty wysłano specjalny wagon 1 klasy dla delegacji. Z ramienia rządu udał się na granicę zastępca starosty powiatu wileńskiego Łukasiewicz. Pierwszy powitał delegację litewską dowódca kompanji K. O. P. kap. Kuszelewski, Litwini rozmawiali z starostą Łukasiewiczem po polsku. Byli oni zdziwieni uprzejmem przyjęciem w Polsce, na które, zdaje się, nie byli przygotowani.

Strajk w Szanghaju. Wobec panujących w Chinach walk i obawy, że Chińczycy rzucą się na Europejczyków, Anglja wysłała tam swoje wojska. Nie podobało się to Chińczykom i w ubiegłą niedzielę rozpoczęli robotnicy w Szanghaju strajk generalny. Robotnicy domagają się, aby wojska angielskie i wojska chińskie gen. Sun Czuan Fanga opuściły Szanghaj. W dzielnicy chińskiej, położonej na południe od koncesji międzynarodowej, panuje stan oblężenia. Tramwaje miejskie w zachodnich dzielnicach przestały kursować o północy. Sytuację uważają za poważną, tembardziej, że zwolennicy rządu kantońskiego planują masową demonstrację na wypadek wkroczenia wojsk kantońskich. Komendant Szanghaju postanowił jednak strajk stłumić i w tym celu każe aresztować przywódców strajku, wieszać ich bez sądu, a głowy ich odcięte umieszczać na bramach miasta.

KRONIKA.

Jak szybko poczta przesyła pieniądze. Po wysłaniu pieniędzy na prenumeratę „Roli“ Czytelnicy niecierpliwią się dłuższem czekaniem na numera „Roli“, a czasem zasyłają listy do Administracji nieraz nawet przykre, która z wysyłką ani dnia nie zwleka. Winę ponosi tu tylko poczta, która naprzykład pieniądze nadane na poczcie Torskie przez Kółko Rolnicze w Hińkowcach doręczyła Administracji „Roli“ dopiero po 16 dniach. P. Jan Kozaczka z Ćmielowa, poczta Olesno, nadaje na tejże poczcie prenumeratę na „Rolę“ 10 stycznia b. r., która przychodzi do Administracji dopiero 17 lutego! b. r., a więc po 36 dniach. (Olesno oddalone od Krakowa około 15 mil). — Do Wilna wysyła Administracja „Roli“ 21 egzemplarzy w jednym pakiecie mocno opaskowanym i sznurkiem związanym. Po dwóch tygodniach wraca pakiet z zawiadomieniem, że tenże pakiet doszedł do Wilna bez opaski. W pakiecie jednak, który też wrócił z powrotem, znajdowało się już nie 21 egzemplarzy ale tylko trzy. Podobnych przykładów możnaby tu dużo jeszcze podać.

Do pracy. Od wiceprezesa powiatowego Związku zawodowych rolników w Brzesku otrzymujemy następującą odezwę: Wojna zniszczyła wiarę w konieczność pracy społecznej, którą jedynie możemy zbudować potęgę materjalną narodu. Tak, jak zdrowie jest wykładnikiem sprawności człowieka i nikt nie żałuje trudów aby odzyskać je choćby po tysiąc razy, tak my rolnicy po tysiąc razy winniśmy czynić wysiłki, aby swoje zdrowie, swoją jedność rolniczą, ów zmysł spółdzielczy rozwinąć na nowo po jego utracie. Toteż wszyscy rolnicy winni zwrócić baczną uwagę i serdeczną gotowość w stronę organizacji zawodowej rolniczej. Nie należy oglądać się i czekać aż przyjdzie ktoś i da z siebie ogrom pracy, trzeba samym rolnikom brać się do pracy, a przystępować do niej z wiarą i umiłowaniem a przy pomocy Bożej wytwarzają się zdolności do czynu społecznego. Lecz nie trzeba zwlekać, nie trzeba odkładać, ale brać się natychmiast do pracy wspólnej. I w każdej parafji znajdują się dzięki Bogu ludzie dzielni, mamy wśród gospodarzy ludzi światłych, a i wśród młodzieży nie brak myślących poważnie. Należy więc wszędzie przystępować do zakładania Organizacji Zawodowej i do energicznej i wytrwałej pracy w tej organizacji, a taka organizacja sprężyście prowadzona i oparta nie na samem gadaniu, bodajby i najmądrzejszem, ale na czynach wspólnie przedsiębranych i prowadzonych jest najlepszą spójnią, jest najlepszą szkołą do wyrobienia w ludziach zdolności do wspólnej pracy. W krajach zachodu każdy rolnik należy do związku rolników a nadewszystko do organizacji zawodowej, a my rolnicy Polacy dajemy się wciągnąć do wszystkich organizacyj politycznych, bodaj i wrogo usposobionych przeciwko państwu, przeciwko zdobytej krwawo niepodległości, a od organizacji zawodowej częstokroć stronimy. A przecież obowiązkiem każdego naszego rolnika powinno być należenie do Związku Zawodowych Rolników i współdziałanie, aby związek pracował z pożytkiem i nieustającą wytrwałością dla dobra wszystkich rolników. *Józef Mizera.*

Z organizacji Z. Z. R. Z polecenia Kraj. Z. Z. R. objął dalszą organizację w pow. wadowickim p. Tadeusz Lorenz. Toteż w dniu 14 lutego zwołane zostało zebranie organizacyjne w gminie Palcza. Po obszernym referacie T. Lorenza zebrani jednogłośnie uchwalili Związek zawodowych roln. u siebie założyć i zaraz przystąpili do wyboru zarządu, w skład którego weszli lu-

dzie znani ze swej pracy społecznej na terenie gminy i okolicy, a mianowicie prezesem wybrano Franciszka Frączka, sekret. Jakóba Gibasa. Podnieść tu należy, że jak najżyczliwiej naczelnik gminy w sprawie tej organizacji współdziałał. Ile żywotnych, bardzo ważnych spraw gminnych czeka na taką organizację zawodową rolników i ile przy tej sposobności szybko załatwićby ich można, świadczy choćby to, że przy sposobności organizacji Z. Z. R. w Palczy omówiono i załatwiono dla gminy korzystnie sprawę straży ogniowej, budowę nowej szkoły, trasy drogi Palcza-Lanckorona i wiele innych. Równocześnie Zarząd kraj. Z. Z. R. zwraca uwagę O. Z. Z. R. w pow. wadowickim, że czynności sekret. i prezesa tymcz. zarządu pow., z upoważnienia krajow. Zarządu spełnia i prowadzi Tadeusz Lorenz w Lanckoronie, do którego ze wszystkiemi sprawami Związków zwracać się należy.

Dnia 13 b. m. w niedzielę po sumie za inicjatywą i poparciem miejscowego ks. proboszcza, naczelnika gminy i p. kierow. szkoły urządzono zebranie organizacyjne w Zabierzowie. Po szczegółowym, obszernym i rzeczowymi argumentami popartym referacie i po wyczerpującej, bardzo ożywionej dyskusji, uchwalono jednogłośnie utworzyć wspólną zawodową organizację rolników w Zabierzowie; wybrano najtęższych ludzi do zarządu, a urząd prezesa złożono w ręce p. Józefa Czubra, obywatela znanego ze swej życzliwości dla sprawy ludu rolniczego i wszelkich zamierzeń oświatowych nietylko w gminie ale w całym powiecie krakowskim. Jego zastępcą wybrano naczelnika gminy również światłego i postępowego obywatela gminy, co daje gwarancję, że okr. Z. Z. R. w Zabierzowie powinien się rozwijać jak najlepiej. Przy tej sposobności zebrani podkreślili niezmiernie wielką ważność sadownictwa dla gmin sąsiadujących z wielkiem miastem i prosili referenta p. Lorenza, ażeby z wiosną dostarczył członkom zrazów do szczepienia drzewek owocowych i o urządzenie wykładu z tej dziedziny.

Awantura w pociągu. Pasażerowie pociągu, zdążającego z nad granicy rumuńskiej do Stanisławowa byli onegdaj świadkami wielkiej awantury, która omal nie zakończyła się tragicznie. Oto do jednego przedziału wsiedli dwaj 22-letni młodzieńcy, Franciszek Gemza i Jan Samborski i w czasie jazdy zaczęli uprawiać hazardową grę w karty. Mało im jednak było własnej przyjemności, bo zaczęli namawiać współtowarzyszy podróży, nieznanych im zupełnie, ażeby i ci spróbowali gry w „nasze wasze“. Gdy jednakowoż nikt nie okazał ochoty zawarcia znajomości ani przyjaźni, jeden z nich, Samborski, wpadł w złość, wstał z ławki i co sił uderzył najbliższego pasażera, ponadto zdarł mu z głowy czapkę i potargał ją w drobne kawałki. W wagonie zapanowała konsternacja i przerażenie. Co śmielsi pospieszyli z pomocą napadniętemu, chcąc go obronić przed atakami bandyty, a ten wyciągnął rewolwer i począł grozić publiczności. Na widok groźnej postawy wszyscy w popłochu i wśród krzyków zaczęli uciekać, z czego skorzystał Samborski i Antoniemu Rywczukowi z Bodnarówki wyciągnął portfel z kieszeni. Epilog dla bandytów był bardzo smutny, bo gdy pociąg zajechał na peron dworca stanisławowskiego, oczekiwała ich już policja i odstawiła Samborskiego i Gemzę do dyspozycji prokuratury.

Dwie kradzieże kolejowe. Sensacją dnia jest obecnie w Lublinie wielka defraudacja, popełniona przez głównego kasjera kolejowego, Stefana Tymińskiego. Bohater tej afery zniknął gdzieś bez śladu a wraz z nim ulotniło się z kasy kolejowej około 180.000 złotych. Tymiński, który uchodził długo za wzór urzędnika, jak się obecnie okazuje, miał i drugie oblicze. Wychodzą mianowicie na jaw coraz liczniej rozmaite jego sprawki, które przedstawiają go w bardzo złem świetle. Dotyczą one i jego pożycia domowego i różnych spekulacyj. Stwierdzono między innymi, że uprawiał na wielką skalę handel walutami, jak również, że od połowy 1925 r. aż do ostatniej chwili pozostawał w kontakcie z braćmi Piotrem i Franciszkiem Mazurkiewiczami w Lublinie, a ci z firmą wywozową nierogacizny Jan Pietruszka i Spółka w Krakowie. Tymiński dawał Piotrowi Mazurkiewiczowi pieniądze na skup nierogacizny, Franciszek to uskuteczniał. Pietruszka wywoził. Jeszcze dnia 11 bm. o godz. 11 minut 30 w południe w Krakowie sprzedano cały wagon nierogacizny, wysłany przez Mazurkiewiczów z Lublina do Krakowa, a zysk z tego przypadł w udziale Tymińskiemu. Defraudant pochodzi rzekomo z Litwy i tam prawdopodobnie umknął. Jednocześnie z tą aferą ujawniono drugą taką samą. Mianowicie na stacji kolejowej Sarny na Wołyniu kasjer kolejowy, Marjan Strojnowski, zdefraudował 77.000 zl. Część z tych pieniędzy przehulał, resztę oddał na procent i miał dochodu 10.000 złotych miesięcznie. Strojnowski jest krewnym Tymińskiego.

Niezwykła przygoda rybaka. Przed kilku dniami na zamarzniętem jeziorze sumińskiem w Kaliskiem zaszedł pocieszny, choć dość przykry wypadek. Na jeziorze tem w specjalnie do tego celu poczynionych przerębląch rybacy łowili ryby. Jeden z nich zarzucił wędkę i niebawem wskutek charakterystycznego szarpnięcia za sznur stwierdził, że któryś z mieszkańców jeziora złakomił się na przynętę i wraz z nią połknął także haczyk. Uszczęśliwiony łowca jął ciągnąć za linkę, jednakże uwięzić się musiała gruba ryba, gdyż wędka nie popuszczała.



Rybak okręcił sobie sznur około przegubu ręki i jął ciągnąć z całych sił. Nareszcie wyciągnął na powierzchnię lodu ogromnych rozmiarów szczupaka. W tej jednak chwili pośliznęła się szczęśliwcowi noga i rybak upadł na lód. Skorzystał z tego szczupak, który, szukając szczęścia w ucieczce, niby harpunowany wieloryb, umknął w toń, ciągnąc ze sobą usidlonego chłopa. Zanim nadbiegli z pomocą świadkowie niezwykłego zajścia, rybak znalazł się w wodzie. Wyciągnięto obydwóch topielców, przemokniętego do ostatniej nitki człowieka i ogromnego szczupaka, który ważył 34 funty.

Potworna zemsta. We wsi Chodory wybuchł onegdaj w nocy straszliwy pożar, który w ciągu kilku godzin zamienił całą wieś w perzynę. Pożar wybuchł równocześnie w kilku punktach, tak, że odrazu wiedziano, iż wieś podpalono, podkładając ogień pod wszystkie

prawie stodoły. Z powodu panującej silnej wichury ogień rozszerzał się z gwałtowną szybkością. Kiedy mieszkańcy obudzili się ze snu, zapóźno już było na ratunek. W biągu kilku godzin wieś spłonęła doszczętnie, a mieszkańcy, wśród których było wielu zamożnych gospodarzy, stali się odrazu nędzarzami. Podejrzenie o podpalenie wsi zwróciło się przeciwko gospodarzowi Polikarpowi Zimnochowi. Zarządzone śledztwo potwierdziło w zupełności te podejrzenia. Zimnoch nie cieszył się we wsi dobrą opinją, unikano go, jako dziwaka i człowieka o skrytym, ponurym i mściwym charakterze. Największą nienawiścią pałał on ku swemu bratu i niejednokrotnie groził mu zemstą. Groźbę tę wykonał obecnie z całą premedytacją. Dla odwrócenia uwagi od siebie, wpadł on na pomysł, aby spalić brata wraz z całą wsią, gdyż sądził, że w ten sposób uniknie podejrzeń. Krytycznej nocy podłożył on ogień pod wszystkie prawie stodoły we wsi, przedewszystkiem pod obejście swego brata. Zbrodniarza aresztowano i osadzono w więzieniu.

Katastrofa samochodowa. Na linji Czerniowce-Harta, automobil pasażerski, wiozący 13 osób, podczas zjeżdżania ze stoku góry, nie mógł wskutek niewyjaśnionej przyczyny być wstrzymany przez szofera i spadł ze znacznej wysokości, kilkanaście metrów od drogi na pole, rozbijając się i grzebiąc pod swymi gruzami pasażerów. Wszyscy podróżni odnieśli obrażenia, w tem 6 osób bardzo ciężkie. Jednemu z pasażerów została oderwana cała część twarzy, kobietę zaś w odmiennym stanie ciężko ranną musiano zostawić w okolicznej wsi, innych przewieziono do szpitala powszechnego w Czerniowcach. Szofer uciekł, obawiając się kary.

Służąca miljonerką. 28-letnia służąca Marja Draxdorf, urodzona w Lipsku i od pięciu lat zajmująca stanowisko służącej u majstra rzeźnickiego Bachmana pod Dreznem, ma otrzymać spadek w sumie 5 miljonów dolarów po swym wuju, który w Ameryce dorobił się majątku na spekulacji gruntami. Wspomniana służąca jest jego główną spadkobierczynią. Już od dłuższego czasu miała ona wiadomość o tym spadku, a gdy wiadomość ta rozeszła się wśród ludzi, zaczęła otrzymywać liczne prośby o zapomogi i propozycje o zawarcie małżeństwa. Wielcy posiadacze ziemscy i różne inne osoby zajmujące niższe lub wyższe stanowiska, odkryli nagle w sobie miłość do tej dziewczyny, dotychczas zupełnie nieznanej, a w każdym razie przez nich pogardzanej. Codziennie otrzymywała ona takich listów przeciętnie 80 sztuk. Usiłowano wyłudzać od niej pieniądze na różnorodne cele, publiczne i osobiste. Skromniejsi zadowalali się sumą 5.000 marek, mniej skromni żądali 100.000 i więcej. Rzecz oczywista, że wszystkie te listy wędrowały do pieca, ale wskutek takiej masy zgłoszeń szczęśliwa służąca rozchorowała się w ostatnich dniach, przepracowała się bowiem, już przez samo ich czytanie i wynikającą stąd irytację. Naturalnie życiu jej nie grozi niebezpieczeństwo, bo ma ona obecnie staranną opiekę lekarską. Marja Draxdorf zaręczona jest z murarzem Józefem Raffem, ponieważ spadku jeszcze jej nie wypłacono, przeto pełni nadal służbę u wspomnianego rzeźnika, gdzie jej jest bardzo dobrze. Rodzina rzeźnika przytuliła tę dziewczynę jeszcze przed laty, gdy została ona porzucona wraz z dzieckiem przez innego jej narzeczonego. Była wówczas bardzo zrozpaczona i nosiła się z planami samobójczemi. Niewierny narzeczony po rozlicznych przygodach miłosnych wrócił przed pewnym czasem pod Drezno i teraz bardzo ubolewa z powodu swego dawniejszego postępowania. Obdarowana losem służąca postanowiła wyjść zamąż za murarza, który ją kochał jeszcze wówczas, gdy była ona jeszcze całkiem biedną dziewczyną. Prawdopodobnie w lipcu otrzyma ona już pierwszą część spadku. Otrzymawszy go, wyjdzie zamąż i — jak mówi wygodniej ukształtuje sobie życie.

Olbrzymie trzęsienie ziemi w Jugosławji. W ubiegły poniedziałek rano została Hercegowina i Dalmacja nawiedzona straszliwem trzęsieniem ziemi. O godzinie 5 rano okolice zostały nagle oświetlone błyskawicą przy zupełnie pogodnem niebie, poczem nastąpiło pierwsze, najsilniejsze wstrząśnienie, które trwało 42 sekundy. Dalsze wstrząsy powtarzały się kilka razy w ciągu 20 minut. W Mostarze prawie wszystkie budynki zostały zniszczone. Wsie w okolicy Kossowskiego Pola leżą w ruinach. W okolicy Sarajewa nastąpiło wielkie obsunięcie się ziemi, przyczem 10 domów zostało zagrzebanych. 12 osób zginęło. Ludność okoliczna w panicznym strachu ucieka, pozostawiając na łasce losu swe sadyby. Seismograficzne aparaty w Zagrzebiu w ciągu 20 minut zanotowały 19 wstrząśnień skorupy ziemskiej. Najsilniej ucierpiał powiat Stolar, gdzie kilka miejscowości zostało zrównanych z ziemią. Wiele osób jest zabitych i rannych. W Raguzie wiele domów zarysowało się. Telefoniczne i telegraficzne połączenia są przerwane. W miejscowości Metkowice, jak donoszą dalsze wiadomości, zniszczony został budynek stacji kolejowej i urząd pocztowy. W okolicy Pola Kossowskiego utworzyła się wielka szczelina w ziemi w której zniknęło wiele domów.

Szalony czyn pod szubienicą. Dzienniki serbskie donoszą o wstrząsającej scenie, jaka się rozegrała w więzieniu w Ueskuebie. Bułgarski komitadżi nazwiskiem Stojan Stojkow schwytany został z bronią w ręku w czasie napadu na serbską wieś. Skazano go na karę śmierci. Skoro odczytano Stojkowowi wyrok śmierci, przyjął go zupełnie spokojnie i poprosił, aby pozwolono mu pożegnać się z kilku towarzyszami, którzy znajdowali się w więzieniu. Prośbie skazańca uczyniono zadość. Stojkow padł w objęcia jednego z przyjaciół i odgryzł mu nos i policzek z zemsty za zeznania w sądzie, które spowodowały karę śmierci. Z trudem poskromili żandarmi rozwścieczonego skazańca i zawlekli go pod szubienicę. W chwili, gdy mieli mu związać ręce, rzucił się Stojkow na żandarmów, wyrwał jednemu z nich broń z ręki i zabił oficera, oraz dwu żołnierzy, pełniących służbę bezpieczeństwa. Po długich wysiłkach rozbrojono wreszcie Stojkowa, a kat powiesił go na szubienicy.

Oryginalny napad. W Paryżu zdarzył się tymi dniami oryginalny napad bandycki. Do sklepu pewnej handlarki starożytności wtargnął jakiś młody człowiek i korzystając z tego, że właścicielka zajęta rozpalaniem ognia, odwrócona była tyłem, zranił ją żelaznym bokserem, następnie zaś związał. W tem miejscu zaczyna się jednak oryginalna część historji. Bandyta rzucił się na kolana przed swą ofiarą, wyznał, że do tego kroku popchnęła go nędza, poczem opatrzył ranę, uwolnił kobietę z więzów i ucałowawszy ją, oddalił się pospiesznie. Oczywiście trudno tu przypuszczać, aby człowiek ten był przy zdrowych zmysłach.

Zagadkowa choroba. W pewnej okolicy Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej pojawiła się nowa choroba, która nawiedza tylko dzieci szkolne, a wobec której lekarze są narazie bezradni. Dzieci, które zapadają na tę chorobę, zrywają się nagle z łóżka, czy to porą nocną czy za dnia, wybiegają z mieszkania i biegają tak długo, aż im zabraknie sił i padają na ziemię wyczerpane. Skoro przyjdą do siebie, podlegają ponownemu napadowi, niekiedy po kilka razy dziennie. Inne znowu wybiegają, czy to z domu, czy ze szkoły, wpa-

dają bezmyślnie na drzewa, zadają sobie rany i padają na ziemi, gdzie leżą czas dłuższy bez przytomności. Co powoduje takie napady, dotąd nie zdołano stwierdzić.

Polowanie na męża. Podczas rewizji poszportów na przybyłym z Ameryki okręcie policja angielska miała niespodziankę, gdyż na jednym z dokumentów osobistych, należących do młodej kobiety, odkryto w rubryce: cel podróży — uwagę: dla upolowania męża. Zapytana o znaczenie tej uwagi młoda Amerykanka odpowiedziała zupełnie szczerze, że istotnie podróżuje celem znalezienia męża, że więc uwaga w paszporcie wcale nie jest pomyłką urzędu. A skoro tak jest, skoro naprawdę przybyła do Europy, by szukzć tu męża, — to dlaczego nie miałaby wypowiedzieć tego otwarcie.

Cena pocałunku. Cena jednego pocałunku wynosi w Ameryce przy hurtownej konsumcji jednego dolara. Tak oblicza je pewien obywatel nowojorski w skardze rozwodowej, żądając odszkodowania za poniesione wskutek niewierności swojej małżonki straty. Opiera się on w swoich wywodach na końcowem zdaniu listu, wystosowanego do jego żony przez jej uwodziciela: „Trzydzieści tysięcy całusów od Twojego kochającego Cię... i t. d.“. Obrażony mąż jest zdania, że „zbyt szanuje swoją żonę, by cenić niżej jednego dolara każdy jej pocałunek, wobec czego żądam 30.000 dolarów odszkodowania od mojego następcy“. W Ameryce i taki probież jest najzupełniej możliwy...

Po śmierci Mikada. Pogrzeb mikada odbył się w Japonji wśród ogólnej żałoby, przestrzeganej ściśle przez wszystkie sfery społeczeństwa. Cały kraj odprawiał w dniu pogrzebu modły, które według zapatrywania Japończyków wywierają największy skutek nad brzegiem morza lub nad jeziorami. Kolorem żałobnym w Japonji jest kolor biały.



Rycina nasza przedstawia członków sekty Niehrów, którzy stoją w wodzie w białych przepaskach na biodrach, modlą się za duszę mikada, przygrywając do swoich pieśni żałobnych na gongach.

Krowy i muzyka. Na jakie pomysły dziwaczne wpadają ludzie, świadczy następujący fakt. Oto właściciel niezliczonych stad bydła rogatego w Argentynie, senator Callencangalho, wpadł na pomysł zwiększenia wydajności mleka u krów. W tym celu kazał wyperfumować obory, przypuszczając, że rezultat będzie dobry. Ale krowy okazały się nieczułe na woń fijołków i róż, zaczem oryginalny hodowca uciekł się do muzyki i urządził podczas podoju prawdziwe koncerty. Tym razem skutek był zadziwiający i krowy dały podobno uderzająco większą ilość mleka. Wartoby i u nas tego spróbować.

Bandyta generałem. Jak wiadomo, w Chinach od dłuższego czasu toczy się zacięta wojna domowa pomiędzy północnymi a południowymi Chinami. Na czele armji północnej stoi marszałek Czansolin, który w Europie jest prawie nieznany. A przecież przeszłość jego jest bardzo ciekawa. Czansolin urodził się na południu, z ojca kuli-robotnika i matki - gałganiarki. Nie nauczył się czytać ani pisać. Jako chłopiec zbierał rośliny i uczył się leczyć bydło. Kiedy Japończycy w roku 1894 postanowili pokonać Chiny, wcielono Czansolina do szeregów cesarskiej armji chińskiej. Wojskowe buty i ubranie przeszkadzały mu bardzo, więc dezerterował. Uciekając przed prześladowaniem ze strony żandarmerji, schronił się na katolicką farmę św. Józefa, gdzie przyjął wiarę chrześcijańską ze strachu, aby go nie wydalono. Nie długo był chrześcijaninem, bo tylko do 22 r. życia. Wracając do domu, do kraju ojczystego New-czang, znalazł 7 karabinów. Zwerbował więc kilku bandytów, których w Chinach nie brak, i tu dopiero zaczyna się jego karjera. Trzymając swych współbandytów żelazną ręką, ograniczył się z początku do napadów na podróżnych. Po kilku udanych napadach jego banda wzrosła, a nawet Hong-bonzowie czyli „Czerwone wąsy“, osławieni bandyci mandżurscy, którzy ród swój wywodzili aż od praojca Noego, połączyli się z bandą. Korzystając z ich pomocy, Czansolin opanował Mandżurję, a podczas wojny rosyjsko-japońskiej zorganizował akcję szpiegowską i prowadził wojnę podjazdową przeciw Rosji. Od Japańczyków otrzymywał broń, pieniądze i... błogosławieństwo. Po wojnie jego armja, złożona z wielkich oddziałów ochotniczych, do tego stopnia wzrosła, że Pekin musiał się z nim liczyć. Czansolinowi zaproponowano godność pułkownika pod warunkiem, że złoży dowody wierności. Mianowicie stolica chciałaby się pozbyć drugiego naczelnika „Czerwonych wąsów“. Czansolin obiecał złożyć tyle dowodów wierności, ile tylko będą od niego żądać. Zaprosił Tulisana na obfity obiad, przy którym obydwaj dawni bandyci wspominali o swych pierwszych występach i powodzeniach. Ceremonjał pożegnalny przeciągnął się dość długo, a kiedy Tulisan był już za drzwiami, wypadli żołnierze Czansolina i zastrzelili gościa. Czansolin kazał odciąć głowę zabitego, poczem wsiadł na konia, przyjechał do pałacu cesarskiego i rzucił na biurko cesarza jeszcze ciepłą głowę ściętego Tulisana. Potem awansował bardzo szybko, a w r. 1911, t. j. podczas rewolucji w Chinach występował już jako pan północy, którym jest po dzień dzisiejszy.

Dziwny zapis. Jak w Siamie białe słonie, tak w pewnych okolicach Indji czerwone pluskwy (płaszczyce) uchodzą za stworzenia święte, które się też tam ogromnie rozmnażają i tworzą istną plagę egipską. Niedawno temu umarł tam bogaty krajowiec, który w swym testamencie zayisał aż 400 tysięcy dolarów na budowę trzech schronisk dla tych zwierząt, gdzieniegdzie słusznie całkiem tępionych. Każdy ubogi podróżny, który się zgodzi na to, by w tem schronisku przespać godzinę i krwią swą żywić pluskwy, otrzyma dwa dolary za godzinę. Czy się tam wielu zgłasza po nagrodę okupioną drogą krwią własną, to niewiadomo, ale podobno takich schronisk istnieje w Indjach aż kilkaset

RZECZY CIEKAWE.

Krzyż cudowny w Assche.

W małej mieścinie belgijskiej, Assche, w tamtejszym kościele parafialnym, przechowuje się od lat sześciuset krzyż cudowny, będący przedmiotem szczególnej czci nietylko mieszkańców miejscowych, ale także całej katolickiej ludności Belgji.

Niezmiernie ciekawe są dzieje owego krzyża. Opowiada je szczegółowo Godfryd Kurth, dyrektor belgijskiego Instytutu historycznego w Rzymie:

„Ongi w parafji Assche, odległej o dwie mile od sławnego miasta Brukseli w Belgji, mieszkała biedna kobieta, dręczona długami, których żadną miarą spłacić nie mogła. Gdy ją wierzyciele już ostatecznie naciskać zaczęli, postanowiła zastawić u żydów, mieszkających w okolicy Assche a trudniących się lichwą jedyną suknię świąteczną, znacznej wartości. Chytrzy i podstępni żydzi, chcąc wyzyskać nieszczęśliwe położenie biednej kobiety, do swych tajemniczych a snać zbordniczych celów, odpowiedzieli na jej prośbę:

— Jesteśmy miłosierni i litościwi, chętnie ci dopomożemy, nawet bez zastawu, ale z pewnym warunkiem. Nadchodzi wasza Wielkanoc, do którego to święta przygotowujecie się wy, chrześcijanie, spowiadając się i komunikując. Otóż jeżeli nam przyniesiesz Hostję Świętą, udzieloną ci przez księdza po spowiedzi, to otrzymasz od nas tyle pieniędzy, że wystarczą ci one nietylko na spłacenie wszystkich długów, ale nadto na wygodne życie do śmierci.

Niebaczna kobieta, po pewnem wahaniu, usłuchała zbrodniczego podszeptu. Przyjąwszy w kościele, wraz z innymi wiernymi Komunję, wyjęła ją nieznacznie z ust, owinęła w przygotowaną chustę i poniosła żydom. W drodze jednak sumienie ją ruszyło. Cały ogrom występku stanął przed jej oczyma.

— Jeżeli oddam żydom hostję świętą — rozważała — to oni ją znieważą i splugawią ohydnie. Może ich za tę zbrodnię spotka już tu, na ziemi, kara sprawiedliwego Boga, wówczas moje uczestnictwo w tem świętokradztwie wyjdzie na jaw, a wtedy i ja zostanę skazaną na hańbiącą karę. Nie mogę zatem hostji oddać żydom. Nie mogę jej też przyjąć w tej chwili, gdyż jestem w stanie grzechu, ściągnęłabym zatem na siebie potępienie wieczne. Cóż mam uczynić?

Tak rozmyślając, rozgląda się dokoła i spostrzega tuż przed sobą odwieczną, suchą olchę, z wypróchniałym pniem. Rzuca tedy do dziupli hostję i wraca do domu strapiona, opłakując swój grzech ciężki.

Sucha olcha natychmiast odżyła, okryła się bujną zielonością, trwającą zimą i latem. Przytem zlatywały się do niej ptaki, siadały na jej gałęziach, wywodząc trele. Zwróciło to ogólną uwagę. Ludzie ze wszystkich stron ściągali, żeby podziwiać cudem wskrzeszoną olchę, a jednocześnie rozpoczęły się cudowne uzdrowienia i inne łaski. To oczywiście powodowało coraz tłumniejszy napływ pielgrzymów. Wkrótce pielgrzymki przybrały takie rozmiary, że niszczyły zasiewy okolicznych rolników. Jeden z tych ostatnich postanowił zapobiedz klęsce swoich pól ścinając olchę. Uzbrojony w siekierę, udał się pod drzewo i zaczął je rąbać, ale wnet spostrzegł, iż odpadające trzaski broczyły krwią i upadały na krzyż. Zauważyli to również obecni przy tem pielgrzymi. Znajdująca się zaś pomiędzy pątnikami owa grzesznica, która hostję w dziupli drzewa ukryła, teraz widząc, co się dzieje, głośno wyznała swój występek. Wówczas uchwalono jednomyślnie, aby z cudownego drzewa najsłynniejszy ze snycerzy miejscowych wyrzeźbił krzyż z wizerunkiem Zbawiciela. Gdy się to stało, umieszczono ów krzyż w kościele parafjalnym w Assche, t. j. tam, skąd nieszczęśliwa grzesznica hostję wykradła.

Krzyż w Assche wkrótce cudami zasłynął i sprowadzał tłumne pielgrzymki.

Włosy kobiet a zwierzęta domowe.

Moda krótkich włosów u kobiet okazuje się dobroczynnością, ktoby to był pomyślał, dla zwierząt! W królewskiej Akademji Zoologicznej w Londynie stwierdzono, iż od czasu, kiedy kobiety nie używają szpilek do włosów, dziesiątki tysięcy zwierząt co roku unikają niechybnej śmierci. W muzeum Akademji istnieje cały zbiór takich szpilek, które spowodowały śmierć różnych zwierząt. Połknęły bowiem wraz z żywnością taką zgubioną, fatalną szpilkę. Na folwarkach np. było codziennym wypadkiem zagubienie szpilek przez dziewczęta dojące krowy; jeszcze więcej takich szpilek gubiono przy licznych wycieczkach i „piknikach" na łąkach i w trawie. Każda krowa, która połknęła taką szpilkę, była skazana na śmierć. Tysiącami, jak wykazały sekcje ginęły pożyteczne zwierzęta z winy napozór niewinnych szpilek do włosów. Jeszcze więc jedna zasługa modnej chłopięcej fryzury!

Kiedy wynaleziono łóżko.

W dawnych czasach nie znano łóżek, bez których się dzisiaj nikt nie potrafi obejść, tylko spano na gołej ziemi a potem na dywanach przykrywszy się również dywanami lub skórami ze zwierząt. O łóżku jest poraz pierwszy mowa u greckiego historyka Herodota, gdy opisuje jak tyran (monarcha) wyspy Samos w roku 450 przed Chrystusem przyjmował u siebie posła serbskiego spoczywając na łóżku, twarzą do ściany odwrócony. Rozchodzi się tam o rzeczywiste łoże, w którym człowiek jak dzisiaj leżał wyciągnięty, a nie o kanapę lub coś podobnego, na której się tylko siedziało. Łoże takie spoczywało i wówczas na czterech nogach zasłane było dywanem i licznemi poduszkami skórzanemi, a odpowiednio do majątku właściciela wykładane były złotemi, srebrnemi, żelaznemi ozdobami lub kością słoniową. Łoża bywały jednak wówczas daleko wyższe od dzisiejszych i można było dostać się do nich po schodach, które się przy każdem znajdowały. Kilka set lat później budowano łoże z baldachimami nad niemi, które zwłaszcza we Włoszech doznały szerszego zastosowania, ale następnie zarzucono je znowu, całkiem słusznie, bo były drogie a nie zdrowe, utrudniając dostęp świeżego powietrza do śpiącego pod baldachimem człowieka.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 22 lutego b. r.

Pszenica .	52·00—53·00	Słoma długa	5·50— 6·50
Żyto . .	40·00—40·50	Ziemniaki stoł.	0·00—00·00
Owies . .	32·50—33·00	Koniczyna nasienn. czer.	470·00—490·00
Jęczmień .	36·00—37·00	Mąka pszen.	89·50—90·00
Groch zwyk.	48·00 - 52·00	Mąka żytnia	62·50—63·50
Fasola biała	53·00 – 57·00	Otręby żytnie	26·00—27·00
Łubin żółty	32·50—33·50	Otręby pszen.	26·00—27·00
Siano słodk.	11·00 – 12·00	Pęcak zwycz.	51·00—52·00
Koniczyna .	15·00—17·00		

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Giełda pieniężna. Dolar nieco się obniżył, płacą od 8·90 do 8·94 za jednego.

Odpowiedzi Redakcji.

Redakcja nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

Pp.: **Franciszek Marzec** w T.: Za nadesłane utwory serdecznie dziękujemy. Są one, jak zwykle, dobre. O ciąg dalszy prosimy, wolelibyśmy jednak coś prozą, ale rzeczy nie dłuższe, jak na jedną stronę druku. Utwory ponad stronę druku sprawiają nam trudność techniczną, a Czytelnicy ciągów dalszych nie lubią. — **Józef Kapuściński** w L.: Za przesłane utwory dzięki. Pójdą powoli. Zbyt często prac jednego autora zamieszczać nie możemy, gdyż trzeba i dla innych przeznaczyć nieco miejsca. Zdarza się przytem, że umieszczamy i utwory słabsze, aby autorów zachęcać do dalszego pisania, gdy tymczasem lepsze utwory czekają swej kolei w tece redakcyjnej. — **Franciszek Gronner** w B.: Maciuś za pozdrowienia serdecznie dziękuje, a my o obietnicę prosimy. — **Włodzimierz Szewczuk** w J.: Zagadki dobre — umieścimy. — **Kasper Święcicki** w D.: Możliwe, że list z rozwiązaniem zagadek zaginął, choć listy rzucane do skrzynki „Czasu" bywają nam zawsze przez grzeczność koleżańską doręczane. — **Władysław Grażyński** w W.: Wierszyki, choć jeszcze nie do druku, są bardzo miłe. Trzeba uważać i na rym i na rytm. Nie można np. rymować słów: sanie — kanie, ani konie — sonie. — **Otto Krause** w W.: Jako nagrody za rozwiązanie zagadek dajemy stale dwie książki powieściowe w każdym tygodniu. Kto otrzymuje nagrodę, rozstrzyga ślepy los, na który my nie mamy żadnego wpływu. — **Sikora-Sikorowicz:** Wiersz p. t. „Wspomnienie" (Wizja) jest silny, znać w nim wysoki polot myśli, że tak powiemy, widoczny tu lwi pazur, ale niestety dla „Roli" nie zupełnie odpowiedni. Nadawałby się raczej do któregoś z pism ściśle literackich. Na przyszłość prosimy pisać po jednej stronie papieru, gdyż pisanie po dwóch stronach przysparza nam wiele pracy. — **Andrzej Kobiela** pod Ryz.: Adres do zegarmistrza: Kraków, ul. Szewska Jan Płonka. — **J. Zając** w B.: Tu w Krakowie niema takiej hodowli królików w tym celu możeby WPan ogłosił w „Roli" to ofert będzie dużo. — **Jan Wadowski** z T.: Takiej emigracji przewidzieć nie można, bo nie wiadomo, czy rząd kanadyjski zgłosi zapotrzebowanie. Do Niemiec emigracji zbiorowej niema — nikomu też nie wolno się organizowaniem takiej zajmować. **Pięta** Wł.: Zwracać się do XX. Salezjanów w Oświęcimiu.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Antoni Marchlik z K.).

- ☆☆☆☆☆☆☆☆ Oficer kawalerji.
- ☆☆☆☆☆☆☆☆ Ptak.
- ☆☆☆☆☆☆☆☆ Wykonanie wyroku.
- ☆☆☆☆☆☆☆☆ Dowód miłości.
- ☆☆☆☆☆☆☆☆ Groźna choroba.
- ☆☆☆☆☆☆☆☆ Kraj w Azji.
- ☆☆☆☆☆☆☆☆ Ceremonja klasztorna.
- ☆☆☆☆☆☆☆☆ Zustępuje cukier.
- ☆☆☆☆☆☆☆☆ Miasto na Morawach.
- ☆☆☆☆☆☆☆☆ Członek powstania 1863.
- ☆☆☆☆☆☆☆☆ Kierować okrętem.
- ☆☆☆☆☆☆☆☆ Choroba.
- ☆☆☆☆☆☆☆☆ Przyrząd fizyczny.
- ☆☆☆☆☆☆☆☆ Rzymskie wodociągi.
- ☆☆☆☆☆☆☆☆ Okręt wojenny.
- ☆☆☆☆☆☆☆☆ Fabryka oleju.
- ☆☆☆☆☆☆☆☆ Krzew.
- ☆☆☆☆☆☆☆☆ Lud syberyjski.
- ☆☆☆☆☆☆☆☆ Książka z pob. pieśniami.
- ☆☆☆☆☆☆☆☆ Drogi marmur.

Początkowe litery, czytane z góry na dół dadzą nazwę jednego z państw europejskich.

3. Szarady.

I.

(Ułożył Jan Gruca).

Pierwsze i drugie fabrykują w świecie,
Będąc w lecie, wdychamy całą piersią trzecie
Wielu używa przyjemności w zimie,
Mając czwarte, a zanim sezon tego minie.
Całość to godność autora.

II.

(Ułożył Jan Piwowoński).

Trzecie i czwarte znajdziesz na okręcie [lub we wodzie,
Pierwsza, trzecia, czwarta rośnie na polu, [albo też w ogrodzie.
Pierwszą i drugą znają — co w karty [grywają,
Pierwsza jest w abecadle — drugą Grecy [znają.
Pierwsza czwarta miejscowość w dalekiej [krainie,
Czwartą zaś gramatyka pewno nie pominie.
Całość jest to kobieta — może być nie- [wiasta,
Albo nawet dziewczyna ze wsi, albo [miasta.

III.

(Ułożył Jan Dubis z J.).

Pierwsze i trzecie zwierzęta domowe,
Drugie zaś samo wielce pożyteczne,
Bo jużto dźwiga ciężary mostowe,
Lub zabezpiecza brzegi nadrzeczne.
Całość nie jest zwykłą ciemną norą,
Lecz szukaną i cenną skarbów komorą.

Kwadrat magiczny.

(Ułożył Florjan Ciebiera z Rz.).

Podane litery ułożyć w kwadrat w ten sposób, aby czytane pionowo i poziomo dały pięć takich samych wyrazów:

a, a, a, a, a, a, d, e, e, f, i, i, l, l, n, n, o, o, r, r, w, w, z, z, z.

Znaczenie wyrazów: 1) Służy na kwiaty. 2) Imię żeńskie. 3) Wiatr. 4) Płyn. 5) Inaczej odrazu.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 5 marca b. r.

Znaczenie zagadek z Nr. 7. „Roli": 1) Logogryf: Jan Kochanowski, Ignacy Krasicki. 2) Szarady: Rola, Kraszewski, Korale. 3) Zagadka: Niebo. 4) Przestawianka: Litwo, ojczyzno ty moja, ty jesteś jak zdrowie, Ile cię cenić trzeba ten się tylko dowie, Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całej ozdobie Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie.

Dobre rozwiązania zagadek w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Zięba Wal. z S., Janka Nowakówna z W., W. Kwiatkowski z K., Jan Bylica z K., Wł. Mikuła z T., Ludwik Hechelski z B., Jan Żak z K. P., Hania i Frania Gacówne z B., Franciszek Kuliński z Z., Stanisław Nowak z K., A. Król z B., E. Cygan z B., Adam Sowiński z N.S., Leonard Bogdański z J., A. Nowak z K., Jan Dąbrowski z Ś., Regina Burbianka z W., J. Morys z C., W. Zgleń z M., Otton Krause z W., Jan Patulski z S., Michał Juroszek z M.K., Juljan Józefczyk z G., Ludwik Dudziński, Jan Prorok z T. D., Tomasz Wójcik z T.R., E. Kadłubowska z T., Jan Czader z S. W., Piotr Adamczak z G., Jan Wojnar z M.G., J. Uroda z B., Piotr Wenc z Ś., St. Jachowicz z G., Jakób Kalarus z Z., Rudolf Kula z M. K., J. Klocek z Dz., Karol Suchanek z W. G., Florjan Ciebiera z Rz., Jan Lose z M. K., Józef Kapuściński z L. (wierszem), Franciszek Gronner z B., Jan Szymoszek z Z., T. Szafrański z Cz., Piotr Potoniec z W., Józef Gac z B, Wł Stelmach z Rz., Walenty Włodarczyk z D., Andrzej Wrona z S., Rudolf Brachaczek z P., Józef Rylewicz z T., Józef Gasiński z B., Koło Młodzieży z W., Tadeusz Biernacik, W. Flis z L. G., L. Kranz z S., G. Wirstnik z Sz., J. Zuśka z K. E. Wronarowicz z K., Marja Woźniakiewicz z G., Jan Czelusniak z W., Jan Jeleń z C., J. Zagól z P. K., C. Kozłowski z W., W. Ciepiela z B., St. Reuss z K., Maksymiljan Rutkowski z T., F. Czakon z P., J. Mrózek z Z., W. Zieliński z Z., J. Winter z D., Jan Sedłak z D, A. Trybulec z D., T. Maniewski z D. W., Piotr Furmański z Z., Zofja Moskalówna z K., Józef Święcicki z D., Koło Młodzieży w Łętowni, T. Dyduch z W., Jan Półtorak z K., W. Szymański z P., Roman Grębosz z P., Tomasz Dymanus z K., Józef Kaizer z W G., A. Cieślar, Wł. Szewczuk z J., J. Grzyk z W., M. Woźniczka z T., J. Markus z K., J. Kałamarz z D., Tomasz Krok, Jan i Józef Pamuła z Rz., Ola Przyłęcka z Ł. Sz., Izak Anisfeld z K., M. Radlmesser z S, M. Pietryka z B., J. Pietryka z M., K. Tomaszek z T., A. Liebeskind z K., I. Schamroth z K., A. Grzegorzek z U., S. Sturm z Ś., Śledziejowski z K., W. Chrzanowicz z M., J. Święcicki z D., Jan Półtorak z K., Wł. Szymański z P., Koło Młodzieży z Ł., T. Dyduch z W.

Nagrody wylosowali: Józef Kapuściński z L. i Józef Święcicki z D.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni »Czasu« w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Uczciwy

— Dlaczegoś się tak upierał, aby ci krawiec obniżył cenę ubrania? Przecież i tak mu ani grosza nie zapłacisz.

— Tak jest. Ale nie chcę, aby ten człowiek zbyt wiele stracił.



Dobrze mu powiedziała.

Wiózł chłop pełny wór słomy na jarmark do miasta,
W drodze go napotkała znajoma niewiasta
I pyta się ciekawie z czem jedziecie Janie?
A Jan rzecze: sąg drzewa wiozę na sprzedanie!
Dyć to słoma nie drzewo — czy wy ze mnie kpicie?
Dlaczego się pytacie, gdy drbrze widzicie?
No — nieraz się człekowi tak trzy po trzy plecie...
Tego za złe chłop mądry, nie bierze kobiecie!

Fr. M.



Młody.

— Panie majorze, pan niezawodnie wcześnie się ożenił?

— O tak, miałem wówczas dopiero dziewiętnaście tysięcy długu.

Także powód.

— Cóż to dziś tak głośno dzwonią?

— Pewnie jaki głuchy umarł.



Nic darmo.

Nocny stróż (o szóstej godzinie rano budząc się ze snu na schodach sklepu na ulicy).

— Bodaj cię licho! Miałem służbę tylko do piątej, a teraz już szósta. No nic... Każę sobie za tę godzinę zapłacić oddzielnie.



W sądzie.

— Podsądny, jesteś człowiekiem zupełnie zepsutym! Musiałeś chyba obracać się w złem towarzystwie?

— Panie sędzio, od 18-go roku życia tylko ciągle z sędziami mam do czynienia.

Przy przesyłaniu prenumeraty przekazami pocztowymi prosimy adresować nie do Administracji „Roli“ lecz: Konto pocztowe 406.301 Kraków.

Komunikat Zw. Zaw. Rolników.

1) Powiatowe Związki, a tam gdzie niema powiatowych, Okręgowe Związki, potrzebujące jakichkolwiek druków w szczególności legitymacyj członkowskich mogą się zwrócić po takowe do Krajowego Zw. Z. R.

2) W Związku Okr. Z. R. w Gogolowie ost. p. Frysztak są do nabycia 3 zagony ziemniaków do sadzenia.

3) W Związku Okr. Odrowąż ost. p. Czarny Dunajec są do nabycia płótna b. silne samodziały.

4) Ze względu na trudności zakupienia w tym roku większej ilości koniczu w jednym źródle — niech poszczególne Zw. powiatowe szukają same odpowiedniego źródła przedewszystkiem w powiatowych spółdzielniach lub składnicach; o kredyt na zakupno zgłaszać się do Kraj. Zw. Z. Roln. Gdyby w międzyczasie znalazło się tanie źródło podamy je w „Roli" do wiadomości Związków.

Tadeusz Łubieński.